

Agnieszka Czachor

Na surowym korzeniu

*– Czekojcie! Wstrzymojcie swoje karzące ramiona!
– krzyknęła stara Jagnieszka wbiegając na polanę.
– Za późno! – odpowiedziały chórem czarownice –
widma już ruszyły!*

CZEŚĆ PIERWSZA

Rok 1914

Front austriacko-węgierski

Kurwa! Jak huknęło! Ziemia wystrzeliła w górę. Chlusnęło jej szczątkami na boki. Zwaliło kilka sosen. Smród dymu. Ryk ludzi, gwizd kul. Niebo podziurawione szrapnelami. W powietrzu rozkwitły z trzaskiem białe dymki, a potem przeszły w grzmot wybuchających granatów. Kolejne fontanny eksplodującej ziemi zasypały oczy. Nieludzka kanonada, huk pękających pocisków, łoskot łamiących się gałęzi, krzyki rannych. Karabiny siekły bez opamiętania. Istne piekło.

To wtedy go urwało. Znaczący ten kciuk. Tak potem myśleli, bo w chwili, gdy to się stało, Gustaw nic nie poczuł. Dosłownie nic. Dopiero Filipek...

– Jezis, Maria! – wrzasnął i to ocuciło rannego.

Wytrzeszczone oczy Filipka wpatrzone w prawą dłoń Gustawa sprawiły, że ten się przeraził nie na żarty. Spojrzał na tę dłoń. Spojrzał i oniemiał. Po czym kolejny raz wbił głowę w mech, bo artyleria ponowiła atak. Wokół kurz, dym i niewyobrażalny huk. Oczy piekły, w gardle piasek. Leżał z głową wciśniętą w ziemię, bojąc się ją unieść choćby o centymetr, bo psiekrwie Moskale doskonale celowali.

Myśleli, że spotkało ich coś najgorszego – nie przypuszczali, że najgorsze było dopiero przed nimi. I nie była to wojna.

Kraków, lipiec

Nim jednak Gustaw stracił kciuk, a w związku z tym podjął karkołomne decyzje, był upalny lipiec tysiąc dziewięćset czternastego roku. Tak po prawdzie koniec tego barwnego miesiąca, a dokładniej leniwe popołudnie – takie, podczas którego najchętniej się drzemie, a w razie przebudzenia popala się papieroska, aby po chwili z ukontentowania znowu kimnąć. Takie ono było. Gorące, jakby zatrzymane w bezruchu i bardzo ciche. Cichsze niż zwykle. Ani muchy, ani gwizdów czy pierdnieć. Tylko cisza i ten cudowny bezruch. Czuć go było wszędzie, nawet na Rajskiej, w koszarach dwudziestego pułku piechoty austriackiej.

Tego bezwietrznego popołudnia ósemka kaprała Mietka pilnowała więzienia świętego Michała na Senackiej. Wartownikom oczy same się zamykały, strażnicy ziewali, jakby chcieli połknąć cały glob ziemski, a więźniowie szwendali się po dziedzińcu, bo nie mieli innego wyjścia. Nikomu, powiadam wam, nikomu nie chciało się nawet oddychać. Każdy żołnierz znalazł sobie zaciszny kąt albo chociaż kawałek ściany do oparcia, aby pełnić służbę „na baczność”, ale w zgodzie z naturą dnia. Istna sielanka. Jednoroczny Gustaw drzemał, kadet Trzmieł chrapał niczym niedźwiedź, jednoroczny Filipek kimał, uśmiechając się do słońca,

jak dziecię szczęścia. Kapral Mietek, rzecz jasna, drzemał najpełniej, bo na pryczy. W prawdziwym luksusie mógł sobie pozwolić na rozdziawienie ust i wyciek śliny z lewego kącika. Tylko jednoroczny Wąs nie drzemał. Za to trząsał się z zimna, bo stał w najciemniejszym i najwilgotniejszym miejscu. Ale u niego zawsze na opak.

Gdy wybiła osiemnasta, czar prysł, bo u naszych zuchów kiszki zagrały marsza. Musztra wojskowa miała to do siebie, że potrafiła wyszkolić wszystkich i wszystko – nawet kiszki do grania o odpowiedniej porze. Zatem marsz huknął zgodnie w żołądkach żołnierzy. Najgłośniej zaś w żołądku kaprała, bo jego był największy. A tu nic. Cisza. Ta sama, która jeszcze przed chwilą taka błoga i błogosławiona, w obecnej sytuacji najpierw zaniepokoiła, a zaraz potem zirytowała „działwę”. Sen czmychnął. Wąs dostał czkawki, a Mietek to się nawet zdenerwował.

– Co to jest?! – wrzasnął przez otwarte okno i pogroził pięścią bramie frontowej, przez którą każdego dnia zgarbiony Fryc wnosił dla nich posiłek.

Jednak to nic nie dało. Kiszki jak grały, tak grały, a kolacji jak nie było, tak nie było. Mietek jako człowiek uparty nie odpuścił przez minut piętnaście, tylko z napięciem wpatrywał się w bramę, wierząc, że to wpatrywanie się coś zmieni. Niestety tym razem nic to nie dało. Brama jak stała zamknięta, tak stała. Fryca jak nie było, tak nie było.

Z tego wpatrywania się wyrwał kaprała łomot do drzwi jego kantyny.

– No?! – warknął, nie spuszczać oczu z bramy.

– Koolacji nie ma – pisnął Wąs, wchodząc niepewnie.

Miał czkawkę. Żołądek jego był najwrażliwszy ze wszystkich żołądków w dywizji i do tego prawie przyrośnięty do krzyża. Wąs wyglądał jak pajak. W przeciwieństwie jednak do tegoż pajaka, u którego najszerzą część tułowia stanowił odwłok, u Wąsa tą najszerzą była głowa.

Kapral odwrócił się raptownie i rzucił jednorocznemu złe spojrzenie, którego wymowę podkreśliło głośne burczenie w jego brzuchu.

– Toż wiem! – warknął znowu.

Wąs przykleił się do ściany.

Kapral Mietek wypluł peta, złapał za słuchawkę i wykręcił do dowództwa pułku. Ale odpowiedziała mu cisza – ta, co to przed chwilą taka błoga. Przeżuł przekleństwo, połknął je i wykręcił do Komendy Miasta, ale i tam w całym majestacie powitała go cisza.

– Posnęli czy jaka cholera! – Zezłościł się na dobre i wściekły wykręcił raz jeszcze do dowództwa. Niestety cisza nie odpuściła. Rzucił słuchawkę i przyskoczył do okna. – Młody!

Gustaw uderzył głową o ścianę, przetaił oczy.

– Cho no! – krzyknął kapral.

Chłopak pognał na piętro. Kiedy wbiegł do kantyny, Mietkowe oczy ciskały pioruny.

– Pójdiesz na miasto i zasięgniesz języka, co się dzieje! – Rozcapierył palce u dłoni, jakby zamierzał złapać wieloryba.

– Tak jest! – Gustaw z ochotą stuknął obcasami i zbiegł na dziedziniec, a potem z rozpędem wyskoczył na zalaną słońcem ulicę Senacką.

Nim jego oczy przyzwyczyły się do jarzących promieni, musiał chwilę postać, aby czarno-czerwone punkciki przestały mu ganiać przed ślepiami. Gdy ochłonął, dziarsko ruszył wzdłuż ulicy.

Na Grodzkiej zaskoczył go tłum, największy zgromadził się przy wielkim afiszu. Krakowianie cisnęli się przy nim, nie zważając na innych. Deptali sobie nawzajem po stopach, ale mało dotkliwie, bo i obuwie mieli delikatne. Jedni spluwali z wściekłością, inni oburącz trzymali się za głowy, jeszcze inni z entuzjazmem potrzęsali dłońmi sąsiadów.

Gustaw przedarł się przez tę ciżbę bezceremonialnie, nie zważając na jęki i utyskiwania, gdy komuś swoim okutym buciorem stanął na stopie w delikatnym trzewiczku. Spojrzał na słowa krzyczące z afiszu. Z jednej strony po niemiecku: „An Meine Völker!”, z drugiej po polsku: „Do moich ludów”. Pod nimi sporo treści, a na samym dole podpis: Franz Joseph. Największymi literami stało: WOJNA. Aż go rozboleły skronie. Na dwa miesiące przed zakończeniem przez niego służby? Co prawda już od miesiąca piłowani byli forsownymi ćwiczeniami bojowymi. Zostały im nawet odpuszczone marsze i koszarowe formalności, ale żeby tak naprawdę wojna? Z zaskakującą konsekwencją tłukli dzień w dzień ataki, tyraliery i ostre strzelanie. Po całodniowych ćwiczeniach byli tak wyczerpani, że kiedy kładli się na pryczach, od razu zasypiali, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że w zaciszu luksusowych gabinetów organizowano mobilizację. Fakt, o wojnie przebąkiwano, że możliwa, a nawet nieuchronna, ale żaden z jego kolegów nie brał tych słów na poważnie. Gazety o czymś pisać musiały, to pisały. Strach miały wzbudzać, to wzbudzały, przynajmniej w niektórych. Jednak słowo „wojna” dla Gustawa jeszcze niewiele mówiące, jawiło się mu teraz jak ogromne kamienne litery będące balastem, potężną przeszkodą na jego linii życia, na jego drodze, która do dzisiaj wydawała się mu prosta i bezpieczna. Wszystko w nim się teraz buntowało. Nie miał jak obejść ani przeskoczyć tej przeszkody. Po raz kolejny odczytał słowa odezwy, jednak to nic nie zmieniło. Krieg. Krieg, Krieg, gówniane Krieg! Ciągle tam tkwiło między patetycznymi zdaniem.

Rozejrzał się. Żydzi gestykulowali między sobą, równocześnie wypluwając setki nazw towarów i przypraw, jakby im w gardłach wybuchł gejzer z tymi wyrazami. Nie słuchali siebie nawzajem. Każdy tylko mówił, mówił, mówił! Rejwach się zrobił przez to tak wielki, jak podczas Jarmarku Świętojańskiego, choć możliwe, że wrzawa tego popołudnia harmider jarmarku przyćmiła. Dygocący mieszczanie, cuchnący potem, który strużkami lał się im po skroniach, próbowali dogadać się z rozkrzyczanymi Żydami. Każdy myślał tylko o zapasach. Słońce paliło niemiłosiernie.

Gustaw wyzwolił się z tłumu. Zapalił papierosa. Wydmuchał dym i bezmyślnie spojrzął na kościół Piotra i Pawła po lewej. Bielił się ślicznie w promieniach. Stał sobie spokojnie, obojętnie. Zrośnięty z miejscem od wieków. Gustaw zaciągnął się mocno. Jak walczyć to tylko w swoich szeregach, za swoją sprawę, pomyślał. Wypuścił dym. A jakby tak czmychnąć? Poczł motyle w żołądku. Obok niego przemaszerował oddział strzelców polskich. Zakłuło go w piersiach. Jakże im zazdrościł. Niewidzialna nić pociągnęła go za nimi, zrobił nawet bezwiednie kilka kroków w ich kierunku. Jego duch na kilka sekund opuścił ciało i uleciał za Polakami. Miał być lekarzem. Od października wróciłby na studia, gdyby nie ta psiakrew Krieg! Ale równocześnie z niewidzialną nicią pragnienia ożyła wyobrażona ręka cesarza Franciszka, która dla fantazji szarpnęła łańcuchem, na którym uwiązany był Gustaw i jemu podobni. Pośród rozkrzyczanej gawiedzi, pośród wrzeszczących gazeciarzy, pośród tumanów kurzu tańczących w promieniach zmęczonego dnia poczuł na szyi zaciskającą się kolczatkę. Choć jego dusza darła się: nie! On wiedział, że jest tylko

żołnierzem, na dziś niezdolnym do dezercji. Żołnierzem wykonującym rozkazy. Ze zwieszoną głową poczłapał w stronę ulicy Rajskiej.

Obejrzał się za siebie, jakby chciał się upewnić, że coś za nim pozostaje, że to, co widział przed pół godziną, nadal istnieje i stoi na swoim miejscu. I wtedy spotkał się ze wzrokiem starca przypominającego dziadów zebranych po jarmarkach, ale wzrok tego był inny.

– Gustaw!

Wołanie wyrwało go z zamyślenia, rozejrzał się, ale nikogo znajomego wśród tłumu nie zauważył.

– Gustaw, poczekaj!

Wyteżył wzrok i dopiero po chwili spostrzegł, że drobna postać przedzierała się przez tłum. Drobna i niska, ale radziła sobie świetnie. W końcu złapała go za ramię.

– Powiedz mi, co się dzieje?

Przyjrzał się jej. Ależ dawno się nie widzieli, a łączyły ich więzi rodzinne. Choć Gustaw twierdził, że to były raczej więzy. Ostatni raz rozmawiali na pogrzebie jej siostry. I oto w promieniach lipcowego słońca, pośród tańczącego kurzu stała przed nim jego piękna kuzyneczka, której serdecznie nie znosił.

Uścisnęli się.

– Wojna – odrzekł.

– Jak to wojna?! Mieliśmy jechać do Paryża! – Tupnęła nogą ze złością i wydeła usta.

– To nie pojedziecie. – Odsunął ją od siebie na długość ramion.

Jakże różniła się od swojej siostry. Mimo urody – potrafiła wszystkich tylko drażnić.

– Zostajecie w mieście? Musisz nam pomóc!

– Nie wiem. Nie mogę wam pomóc, jestem w wojsku, muszę wykonywać rozkazy.

– Żołnierz ma obowiązek pomagać kobietom! – krzyknęła i wyrwała się mu, ale zaraz zmieniła ton na słodziutki: – Wywieź nas z miasta, proszę.

– Nic się nie zmieniaś – westchnął ze znużeniem.

Przewróciła oczami.

– Co wzdychasz, co wzdychasz?! – Przygryzła usta. – Nie chcę tutaj być, czuję, że muszę uciekać.

Nawet w takich okolicznościach myślała tylko o sobie.

– Żołnierz ma walczyć i iść, gdzie go pošlą. Żegnaj! – Zamierzał odejść.

– Nienawidzę cię! Hance byś pomógł! – Do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie rozumiem, jak siostry mogły się tak różnić – mruknął.

Chwyciła go za dłoń.

– Zawieź mnie do Paryża, tylko tyle.

– Tylko do Paryża? – Wyszarpnął ramię z uścisku Filomeny.

Odrzucił się i chciał już ruszyć do koszar, gdy znowu natknął się na wzrok Dziada. Ten wzrok był na tyle inny, że Gustaw się zatrzymał i wyrzucając peta, przyjrzał się mu uważniej. Człowiek ten śmiał się całą swoją postacią. Jego okrągłutka twarz błyszczała od potu, a gładka skóra, przypominająca wypolerowaną srebrną tacę, sprawiała wrażenie, jakby należał do kółka kuglarskiego. Gdyby nie przykre wory pod oczami i chorobliwie szkliste oczy utopione w zmarszczkach z tych worów, wydawałby się młodym człowiekiem. Gustaw

pomyślał, że te oczy z niego kpią. Poczuł, że szydzą z jego sytuacji i wewnętrznego rozdarcia, i to go rozsierdziło, ale starzec go zaskoczył, salutując mu. Nim otrząsnął się ze zdumienia, spostrzegł chudego wyrostka, który wyłonił się zza Dziada i również mu zasalutował.

– Do zobaczenia niebawem – zawołał grubym głosem starzec, jakby umawiali się na piknik. Towarzyszący mu wyrostek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Do jakiego zobaczenia, co też on sobie wyobrażał? – zachnął się w myślach Gustaw. Stary to musi być zawsze pomyłony. Spojrzał na nich z niedowierzaniem. Obaj muszą być pomyleni.

– Żołnierzu – zawołał Dziad – co najgorsze, to dopiero przed tobą!

– Oby cię kule rozerwały – syknęła Filomena do Gustawa i zniknęła w ciżbie.

– I oni żyli przed nami tu w grzechu, a teraz po nich ni słychu, ni dychu – wyrecytował Dziad i zrobił znak krzyża w powietrzu.

Co za licho?! – zawołał w myślach chłopak. Do prawdy nie wiedział już, którego przekleństwa bać się bardziej.

– Jednoroczny!

Gustaw stanął na baczność i stracił starca z oczu.

– Masz się stawić w koszarach! – rozkazał szeregowiec.

Gustaw obejrzał się i dostrzegł tylko ludzi, którzy przystawali przy afiszu. Pył tańczył wokół ich sylwetek, promienie słońca tworzyły aureole ponad ich ramionami, przeciekały wokół sylwetek. Dziada nie było, ale chętnie by go odszukał.

– Natychmiast!

Ruszył za żołnierzem.

W potężnym koszarowym budynku był rozgardiasz. Papiery walały się na schodach i w hallu. Cuchnęło potem i kurzem wzbijanym przez bieganinę. Żołnierze cisnęli się na stopniach. Jedni wychodzili, inni chcieli zejść, ale tych drugich ci pierwsi blokowali. Większość twarze miała blade, a usta zaciśnięte. Feldfebel, któremu zadawano za dużo pytań, stojąc na szczycie klatki schodowej, pochylony, żeby go lepiej było słyszeć na wszystkich piętrach, ryczał wściekle: „Wenn ich wüsste?”¹, a jego głos niósł się ku dołowi jak grzmot pioruna uderzający w ziemię.

– Chodu! – Trzmiel pochwycił Gustawa i wepchnął przed siebie na schody.

Kadet nie znosił tłoku, dlatego zgiął ręce w łokciach, rozłożył je na boki i niczym kogut idący w konkury z rozcapierzonymi skrzydłami torował sobie drogę.

– Rychtujemy ekwipunek – wykrzyczał Gustawowi do ucha – wszyscy majo ból dupy jak jasna cholera! – Popchnął go kilka stopni wyżej.

– Kolacja była? – Gustaw starał się spojrzeć na Trzmiela.

– Skondyś ty się wzion? Zapomnij o żarciu! – Znowu go popchnął, chcąc jak najszybciej wyswobodzić się z tłumu. – Stoisz jak panna przy słupie, co ma palec w dupie! Idźże!

– Co ty gadasz? – syknął i z mocą oddał kopniaka cwaniakowi obok. Popatrzył na niego z wściekłością, ale tamten zajęty był już kopaniem innego.

¹ Czy ja wiem?

Było duszno i gorąco. Co chwilę wybuchały awantury. To ktoś kogoś kopnął, to strzelił w ucho albo przyładował komuś z łokcia pod żebro.

– A wiesz, co to, taka panna? – wysapał Trzmiel z całych sił, pchając Gustawa przez ciżbę. Na ten ruch odpowiadały im przekleństwa, a czerwone, spocone twarze odwracające się w ich kierunku płonęły z gniewu. – Kłódka! – zawołał z triumfem, ale Gustaw go nie usłyszał, bo zagroził mu drogę człowiek ogromnych rozmiarów. Rozłożył ramiona jak sokół skrzydła i darł się, że nie puści nikogo.

– Ich werde nicht loslassen!² – rechotał przy tym, jakby się najadł szaleju.

Trzmiel tego już nie zdzierzył. Naparł na Gustawa z taką mocą, że ten stracił oddech, kiedy wbił brodę w kręgosłup wielkoluda. Wtedy Trzmiel nieoczekiwanie wsparł się na nim, po czym lekko jak kot wyskoczył w przód i ugryzł Niemca w ucho. Wielkolud ryknął chwytając się za nie, krew buchnęła mu między palcami. Tłum błyskawicznie odskoczył od niego, rozkładając się na dwie strony. Z tego skorzystał Gustaw z Trzmiel – przedarli się do przodu i zziajani wpadli do izby w momencie, gdy kapral na dobre się rozgadał. Zamykając drzwi, słyszeli dzikie wrzaski na schodach i tubalny głos feldfebla. Reszta chłopaków już tutaj była. Kapral umilkł i spojrzał na spóźnialskich z naganą. Westchnął znacząco.

– Regiment wymaszerował – kontynuował ponurym tonem – mamy do nich dołączyć. Natychmiast. – Zrobił pauzę. – Ale mnie się zdaje, że nie będziemy się śpieszyć do wiecznego spoczywania. Spokojnie. Zjemy, prześpimy się i wyruszemy rano. – Zapatrzył się w otwarte okno, przez które dobiegały odgłosy komend, stukot obcasów i w końcu wymarsz jednego, drugiego i kolejnego oddziału. – Nocą źle się maszeruje – powiedział ciszej, jakby do siebie. – Do ekwipunku!

Kiedy spakowali plecaki i rozdzielili między siebie rezerwową żywność oraz dodatkowe naboje, zapanowała cisza, z której opadły strzępy lenistwa i sjesty. Cisza tak różna od tej sprzed trzech godzin, że aż straszna. Pościągali granatowe „pokojoye” mundury i zastąpili je polowymi popielatymi, a kiedy spojrzeli na siebie nawzajem – tak innych – zrobiło się w izbie dziwnie przykro. Jakby nieznany cień osiadł na twarzach chłopców. Powietrze zgęstniało. Trudniej było im oddychać. Wymienili ponure spojrzenia i załadowali karabiny ostrą amunicją.

– Dobra! – zatarł dłonie kapral – to teraz do mnie, do kantyny. Raz, dwa!

Kapral Mietek był równy gość. Skombinował dla nich kolację. Każdy dostał po pajdzie chleba ze skwarkami i kufel piwa. Dobry człowiek. Nie ma co gadać, dobry bez dwóch zdań. Chociaż twardy i surowy, to dobry. Miał większe pojęcie o tym, czym jest wojna, niż reszta jego ludzi, choć po prawdzie to tylko tak mu się zdawało. Uczestnictwo w strajku robotniczym w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym i walki z żandarmerią to jeszcze nie doświadczenie wojenne. Pochowanie zabitych to jeszcze nie wiedza strategiczna. Obserwowanie, jak pociski rozrywają głowy, to jeszcze nie hart. Ale się starał. Chciał, żeby chłopcy się najedli i wyspali. Tyle im mógł pomóc. Sam tej nocy nie zmrzył oka. Patrzył przez otwarte okno wprost w gwiazdziste niebo. Wieczorne powietrze przyjemnie chłodziło mu twarz. Palił papierosa za papierosem. Potrafił się modlić, ale w tym momencie nie mógł

² Nie puszczyć.

się zdobyć na modlitwę. Zresztą nigdy się na nią nie zdobył. Wszystko było już przesądzone. Dlatego tylko palił i patrzył. Palił i patrzył w niebo.

Skoro świt, gdy słońce pomarańczowymi promieniami lało się po bruku, a powietrze pachniało rosą, ruszyli do Borku Fałęckiego. Milczeli. Nawet Filipek nie krzyknął swojego „sakra”. Tylko szli. Noga za nogą. Okute wojskowe buty dudniły, wybijając takt marszu. Kraków już nie spał, choć jeszcze był senny. W niektórych oknach mignęły głowy mieszczan. Jednak było bardzo spokojnie i cicho. Tak cicho, że aż pięknie. Ptaki ćwierkały, radując się tym, czym ptaki radować się potrafią. Mimo ich śpiewu żołnierzom zdawało się, że jest cicho. Bo cicho było. Puste ulice jeszcze nie rozgrzały się jazgotem codziennego wrzenia. Ludzie, nawet jeśli nie spali, to jeszcze siedzieli w mieszkaniach, czytali gazety, kręcili głowami nad nowinami. Było pusto, cicho i pięknie. Prawie odświętnie. Tak ich żegnał Kraków. Spokojnie, bez szlochów. W milczeniu.

Po dwóch godzinach dotarli do punktu zbornego. Kapral poszedł zameldować ich przybycie u dowódcy kompanii. Kwatery znajdowały się w wielkiej hali fabrycznej, a miejsce pryczy wyznaczał snopek słomy. Co żadnemu nie przeszkadzało, aby rzucić swoje członki na czystościutkie i skrzypiące chłopskie złoto.

Leżeli więc pokotem. Niektórzy spali, niektórzy grali na harmonijkach, inni opowiadali sprośne żarty, a jeszcze inni rznąli w karty. Cały dzień nadciągały kolejne oddziały, pod wieczór dołączyli rezerwiści. Chłopy brzuchate i wąsate, dźwigające na swoich barkach po czterdzieści krzyżyków. Za nimi szły ich baby z dziećmi. Z zapuchniętymi od płaczu oczami taszczyły przeróżnej wielkości toboły. Dzieci rozglądały się ciekawie. Wielki plac obok hali błyskawicznie wypełnił się ludźmi, żydowskimi i chłopskimi wozami. Nadjechali medycy i przybyły kuchnie polowe. Powstał harmider i gwar. Słysząc było mowę niemiecką i czeską. Najwięcej zaś gwary góralskiej, ale nie brakowało też zwykłej polskiej, uczelnianej. Na samym skraju tego placu stała wielka karczma. Tego wieczoru zbierała żniwo, które musiało wystarczyć jej właścicielowi na lata. Słońce ślicznie malowało niebo, powietrze pachniało rosą, a skoszony potraw roztaczał wspaniałą woń koniczyny i ziół. Świerszcze grały żarliwie, żaby rechotały. Pięknie było. Jak na pikniku. No, powiadam wam, pięknie! Było.

Kolację dostali obfitą. Kawał tłustego mięsa w rosole z ryżem plus pajdę chleba. Humory dopisywały. Każdy z nich miał jeszcze nadzieję, że ktoś tę wojnę odwoła. Albo że zwyczajnie zaszła pomyłka i jutrzejszego poranka wszyscy spokojnie wrócą do koszar.

Najedzeni leżeli na słomie, jeden obok drugiego. Przez otwarte drzwi słyszeli śmiechy i pokrzykiwania podpitych ludzi. Wieczór już zapadł. Ochłodziło się przyjemnie. Rozmowy w hali przypominały szelest suchej trawy. Coś tam sobie gwarzyli, niektórzy wspominali dom rodzinny, inni łobuzerskie wypady. Wąs piłował paznokcie metalowym pilnikiem. Uwierzcie, że trudny do zaakceptowania to był widok. Trudny dla jego kolegów, ale w końcu machnęli rękami. Tłumaczył się co prawda, że muzyk o swoje palce musi dbać tak samo jak o instrument, ale żaden mu nie wierzył. Mimo to, co zrobisz z dziwakiem? Na pal nadziejesz? Możesz zabić albo zaakceptować. Zabijać jeszcze nie chcieli, więc wybrali to drugie wyjście.

Zatem Wąs piłował swoje paznokcie w kształcie migdałów, Gustaw gryzł słomiany badylek, a Filipek chrapał. Trzmiel gdzieś się podział. Łatwo było zgadnąć gdzie, ale żadnemu nie chciało się sprawdzać. Wrażenie było miłe, bo sielanka rozsiadła się po kątach, gdyby nie to szur-szur, szur-szur! Słowik niedaleko śpiewał przepięknie. Szur-szur-szur. Żyd na skrzypcach przygrywał w karczmie, ale i to nie zagłuszyło Wąsowego szur-szur, szur-szur!

– Przystań żeż! – Gustaw stracił cierpliwość. Poderwał się ze słomy i stanął sztywny jak pień sosny. Zacisnął pięści.

Wąs zamarł. W mig pojął, że żarty się skończyły. Schował pilnik do kieszeni i złożył się wpół, podciągając kolana do piersi.

– Ze Pcimia! – dobiegł ich podchmielony głos Trzmiela. – Pošli my, bo było trza. Kiedy trza przestanie być musowe, to my se pudemy. Pudemy do swoich.

Usłyszeli klaśnięcie w dłonie i do środka wtoczył się rumiany kolega Góral. Stanął w rozkroku i powiódł spojrzeniem po wylegających się.

– Zaśpiewajcie, Trzmielu, zaśpiewajcie! –zawołał Wąs, podbiegając do niego jak szczeniak do suki. Pochwycił go za dłonie, ale on od razu wyszarpnął je z uścisku, otarł o spodnie i spojrzał na Gustawa. Ten puścił do niego oko.

– Dyc to jus noc, ale nic nie stoi na przeszkodzie! – zawołał nie zważając na to, że Gustaw nakrywał głowę słomą. Podparł się pod boki i huknął, ile pary miał w płucach:

Dobry ja se dobry, ale na dobrego
Ale na huncwota ni ma psa gorsego!
Nie było nas ino dwa
Chcieli rąbać na nas drwa
A my chłopcy nie mali
Przecież my się nie dali!

– Hej! – wrzasnęli obecni, bijąc brawo. Zbliżyli się do Trzmiela i otoczyli go kołem, a ten rozochocony śpiewał mocnym głosem dalej.

Trzmiel napuszył się jak paw. Kontent był wielce. Wąs słuchał go z błyszczącymi oczami. Mimo że schował się do kąta i nie bił braw z resztą, bawił się równie dobrze jak oni. Trzmiel miał głos piękny i moc w piersiach okrutną. Mawiali, że słyhać go aż pod samiuśkim Wirchem. Jeden z żołnierzy dobył z kieszeni harmonijkę i zaczął mu akompaniować, co dodało Trzmielowi animuszu. Zgromadzeni nie tylko klaskali – zaczęli też przytupywać, wzbijając kurz z klepiska. Większość z nich była już mocno podochocona wypitymi wcześniej piwami, a Trzmiel nie szczędził głosu.

Gustaw zgrzytnął zębami. Nie znosił muzyki. Żadnej. Również ludowej. Może dlatego, że w jego rodzinnym domu stanowiła obowiązek. Tak w słuchaniu, jak i zachwycaniu się nią. Obowiązek w gonieniu za modą w tym, co warto i co koniecznie trzeba znać! Obowiązek w jeździe do filharmonii. Obowiązek bicia braw i składania gratulacji tamtejszym gwiazdom. Obowiązkiem! Tym była dla niego muzyka. Dlatego jej nie znosił.

Obudzony hałasem Filipek siedział z wyprostowanymi krótkimi nogami i rechotał bezmyślnie, wodząc dookoła zaspanymi oczkami. Machał przy tym pulchnymi ramionami i wykonywał nimi ruchy, które przypominały trzepotanie kaczycy skrzydełek.

Wąs usiadł przy Gustawie i szarpnął go za ramię. Usłyszał bełkotliwy sprzeciw, ale tym razem nie przeląkł się, tylko szarpnął go raz jeszcze.

– Czego? – Gustaw poderwał się zniecierpliwiony, pozwalając, żeby słoma zatrzymała się mu na głowie i ramionach.

Muzykowanie rozsadzało halę. Kurz gryzł w gardło.

– Jak myślisz? – zapytał cicho Wąs.

Gustaw spiorunował go wzrokiem.

– Będzie Polska? – dodał jeszcze ciszej.

– Co?! – Gustaw uniósł brwi i zmarszczył czoło. Cóż to za pytanie i jakże niestosowna na nie chwila!

– Kto wygra?

– Co?

– Tę wojnę.

Wąs wpatrywał się w Gustawa wielkimi niebieskimi oczami niczym anioł w szopce bożonarodzeniowej. Tyle że – i chwalić za to Boga – nie śpiewał.

– Rosja albo Austria, prosty rachunek.

– Czyli Polski nie będzie?

No jak dziecko! Gustaw się zirytował. Ale Wąs przecież był dzieckiem. Osiemnaście lat to nie wiek, to nie staż życiowy. Miał prawo. Wtedy też, tego wieczoru, mimo irytacji, Gustaw po raz pierwszy zastanowił się nad Wąsem. Spojrzał na niego nie jak na dziwaka, a jak na człowieka, który zwyczajnie po ludzku się bał.

– Nie wiem – odrzekł poważnie, bo zrobiło się mu przykro, że przez te wszystkie dni wspólnej służby, Wąsa lekceważyli. – A ty co myślisz?

– Też nie wiem – uśmiechnął się słabo – ale, chciałbym, żeby była – powiedział cicho, wstydliwie, jakby za nią tęsknił. Jak za ojcem, który wyjechał za Ocean i co miesiąc przysyłał paczki, listy i całe wory tęsknoty. Wymieniali potem tę tęsknotę, dzielili się nią, chowali za pazuchą pod sercem, w kieszeniach koło scyzoryka i procy, wokół brudnej chusteczki.

– Chodź – Gustaw się podniósł – napijemy się, bo od tego hałasu bębenki w uszach nam popękają!

– Nie chcę, nie lubię – zasępił się i skulony wrócił do kąta.

Gustaw przedarł się przez ciżbę oblegającą podwórze. Wtargnął pomiędzy tłum rozsadzający karczmę, w której gruby, spocony Żyd wraz z całą rodziną – około dwunastu osób – nabijali jedną po drugiej ćwiartkę piwa. Pili wszyscy. Podoficerowie i oficerowie. Rodziny rezerwy i sama rezerwa. Nikt nie patrzył na stopnie ani dystynkcje. Każdy do każdego mówił na „ty” i każdy w swoim języku, a i tak się rozumieli.

Udało się mu, bo kapral Mietek akurat dopchał się do Żyda. Zobaczył Gustawa i dla niego też wziął piwo. Z niemałym wysiłkiem przedarli się do drzwi, a potem na podwórze. Noc pachniała ciepłym, nagrzanym w słońcu sianem, nieopodał nad jego pokosami unosiła się mgła. Małe gwiazdy wraz ze skrawkiem księżyca mrugały spokojnie. W pobliskich zagrodach wściekle ujadały psy. Nie wiedziały, co robić, bo z takim harmiderem i tłumem obcych nie spotkały się jeszcze nigdy. Z okolicznych zagajników dochodziły pojękiwania i głośne westchnienia. Każdy zadrzewiony zakątek czy pień drzewa zajęte były przez nabrzmiałe od pożądania szerokie biodra i białe pośladki. Co krok migotały obfite nagie piersi

czy zaciśnięte w ekstazie twarde, żołnierskie dłonie zdrapujące paznokciami korę z sosen. Fruwały nietoperze.

Oddalili się od tłumu na ile to było możliwe. Usiedli na połamanych żerdziach, które niegdyś były ogrodzeniem. Usiedli i pili. W milczeniu. Chałupy za pasem łąk tonęły w ciemnościach. W maleńkich oknach gasły lampy. Nie czuć już było dymu ani zapachu kolacji. Cuchnęły za to pot, szczyny, wódka i wszystko, co ludzkie.

– Na Żyda wołają Kwiatek, mówi, że cię rozpoznał – powiedział nagle Mietek, niby od niechcenia. – Jesteś kopiań niejakiego Jedliczyńskiego, tyle że młodszy.

Gustaw roztarł swojego peta na żerdzi. Wypuścił dym i wzruszył ramionami.

– Chuj z tym – mruknął, zapalając kolejnego papierosa. – Nie mnie dochodzić, co się komu roi. – Pociągnął potężny łyk i wyciągnął przed siebie długie nogi.

Nie pokazał tego po sobie, ale zirytował się. Żydzi to jak rzepy na dupie. Wszystko wiedzą, często aż za dużo. Jednak najbardziej zirytowało go to porównanie do jego wuja. No jak kpina losu, żeby on dostał urodę znieawidzonego wujka, ojca nieznośnej Filomeny, w momencie, gdy miał swojego, rodzonego, do którego nie był podobny ani na jotę.

– Jego żydowski kuzyn zwie się Kiwa Bobik i gospodaruje na granicy. Jest ponoć melina w środku puszczy, gdzieś w Galicji, gdzie żadne drogi nie prowadzą. – Kapral spojrział uważnie na Gustawa. – Jego zdaniem wiesz, jak tam trafić.

– Jego zdanie mam w... nosie – Zgasił peta. Jeszcze i to? Nie dość, że wszystko wiedzą, to wszystko rozgadują. Pociągnął kolejny łyk, resztę wylał i poszedł.

Gustaw doskonale znał drogę do Bławatnego, zbójeckiej wsi schowanej w środku puszczy. Znał ją, choć tam nigdy nie był. Od najmłodszych lat mu o tej drodze opowiadano, jeszcze nad kołyską, bo tam dawno temu mieli swój dwór i folwark. Podobno trafić do tej osady było trudno, ale on, był pewien, że zrobiłby to z zamkniętymi oczami. Była to jego alternatywa, swoiste drzwi awaryjne, których jeszcze nie chciał wykorzystać, ale ich istnienie miał z tyłu głowy.

– Wieś na surowym korzeniu zbudowana – Mietek dokończył, mówiąc do siebie. Patrzył za oddalającym się Gustawem. Brzmiało jak El Dorado.

Też wylał końcówkę piwa. Brzydka, młoda kobieta przysiadła się do niego. Była szczupła, ale blada i smutna. Pogładziła go po dłoni. Miała czarne włosy i oczy prawie bez białek. Rozchyliła usta i dotknęła nimi jego szyi. Pomyślał, że jest córką któregoś z rezerwistów, że być może za moment będzie miał w nim wroga. Jej dłoń jednak była zbyt wprawna, by mogła należeć do wiejskiej, nieświadomej dziewczyny. Nie natarczywa, ale bardzo skuteczna. Przebiegła swobodnie po jego torsie i brzuchu, by odważyć rozpiąć pas, guzik i zagłębić się w spodnie. Jeśli przez moment się wahał, to po tym ruchu błyskawicznie przestał.

– Hm! Hm!

Dotknął jej piersi. Ciepłe, schowane pod koszulą, miały nabrzmiałe sutki. Jednak nie dosięgnął jej ust.

– Hm! Hm!

Ki diabeł! pomyślał kapral Mietek; siłą woli spojrział w prawo i krew w nim zawrzała.

– Co do cholery? – zirytował się nie na żarty.

Wąs stał obok ze skruszoną miną, ale nie zamierzał odpuścić. Dziewczyna czmychnęła.

– Przyniosłem piwo – usadowił się na miejscu kobiety i wręczył Mietkowi kufel. Swoją postawił na trawie.

– Po cholere?! – Kwadratowa twarz Mietka płonęła gniewem.

– Sprawę mam – pisnął Wąs, udając skruszonego, ale wewnętrznie był z siebie zadowolony.

Kapral zaklął pod nosem. W tej chwili nienawidził Chudego, czyli Wąsa, jak nikogo na świecie. Mimo że znał go od pędaka, to tylko siłą woli powstrzymał się, aby go nie grzmotnąć. Zwłaszcza gdy kątem oka spostrzegł, że Trzmiel o pąsowych policzkach, trzymając szeroką dłoń na chudym choć jędrnym pośladku „jego” dziewczyny, zginął razem z nią w kępie brzoź. Aż go zabolalo w środku. Ostro spojrzał Wąsowi w twarz i akurat wtedy, kiedy zamierzał go odsądzić od czci i wiary, spostrzegł, że tamtemu puścił się wąsik. Obiecał jego matce, że o niego zadba, że nie skończy jak jego ojciec, który zmarł w nędzy na gruźlicę. Każdy lubił słuchać skrzypków, ale mało kto chciał za ich granie płacić.

– Czy wygramy? – zapytał Wąs.

– Wygrać to musimy swoje życie i na tym się skoncentruj. Nic nie jest ważniejsze.

– Co to znaczy?

– Zobaczysz. I to niedługo. – Spojrzał na niego już bez złości. Raczej ze współczuciem. Dostrzegł w jego twarzy twarz kobiety, którą kochał całe życie, ale ona kochała jego brata i nawet kiedy tamtego zabrakło, Mietka pokochać nie chciała. – Czym ty się martwisz?

Wiadomo. Martwił się tym wszystkim, czym każdy z nich, tyle tylko, że martwił się bardziej.

– O Matko Święta! – Wąs wytrzeszczył oczy i zaniemówił.

Mietek spojrzał w kierunku, w którym się tamten gapił, i najpierw splunął, a potem zwyczajnie po ludzku się przeżegnał.

Przed nimi stała dziewczynka. Śliczna. Na oko mogła mieć dwanaście lat. Ale była zbyt ładna i zbyt miła, powiedział potem Wąs. Choć tak po prawdzie nie wiadomo, o co mu chodziło. Stała sobie przed nimi i nie dość, że stała, to jeszcze mówiła.

– Pozwolicie mi się tutaj pobawić? – Przewróciła figlarnie oczami.

– Jak masz na imię? – Mietek wstał z żerdzi.

Dziewczynka zaśmiała się.

– Pozwól mi, to zdradzę ci moje imię – zaszcebiotała, a jej błękitna sukienka zatańczyła wokół szczuplutkich łydek.

– Gdzie twoja matka? – Kapral Mietek nie dawał za wygraną.

– Pozwól mi się tutaj pobawić, to powiem ci, gdzie ona jest – zaśmiała się i zrobiła zgrabny piruet na prawej nodze. – To mogę? Mogę? Powiedz, że mogę!

– Nie – Usiadł. Dreszcze przebiegły mu po plecach.

Coś dziwnego było w małej. Nieludzkiego.

– Ale, jak to? – Wydęła do przodu pełne usta.

– Nie! – powtórzył twardo.

– No coś ty, przecież! – zaangażował się Wąs.

– Milcz! – warknął Mietek.

– Ale...

– Milcz! – Upił potężny łyk z kufła. Nie otarł piany z ust.

– Chcę tylko tutaj potańczyć. Tylko się pobawić. O tu! Może być obok, za rogiem – Uparła się dziewczynka.

Ciągle wydawała się miła, choć jej oczy spochmurniały i to powinno zaniepokoić każdego, kto by to zauważył, ale w takich chwilach niewiele się widzi.

– Giewał! – Żyd wyskoczył z karczmy – gałganie jeden, szmarkaczu zły! – wrzeszczał, pędząc za chłopcem z zadziwiającą prędkością.

Mimo znacznej tuszy i wielkiego brzucha, poruszał się bardzo sprawnie. Mały jednak niewiele sobie robił z jego krzyków. Ślizgając się bosymi stopami na trawie pełnej rosy, z dumą dźwigał w brudnych rączkach bochen chleba. Uciekając, błyskawicznie przebierał drobnymi stopami, co chwilę oglądał się za siebie, dlatego pędząc na oślep, wpadł na dziewczynkę, która rozprysła się niczym kropla rosy.

– Łobuz! Grandus! – krzyczał Żyd, dysząc. – Do roboty z obcymi dziećmi – Ze złością uderzył szmatą w powietrze. – Precz! – Wyhamował. Pogroził pięścią małemu i zły na siebie, że pogoń się nie powiodła, kręcąc głową, wrócił do karczmy, a mały zginął w chłodnym mroku.

– Toooo zjawa była – wydukał Wąs, celując paluchem wskazującym w miejsce, gdzie przed sekundą stała dziewczynka.

– Brednie! – Mietek wzruszył ramionami. – Dziecko było, dziecko poszło. Tyle widziałeś, bo tyle było. – Zapalił papierosa.

Mimo że dziewczynki już nie widzieli, to ona tam ciągle stała, za drzewem. Nie słyszeli też, co mówiła. Powiadam wam, że lepiej, iż nie słyszeli. Panienska recytowała mniej więcej tak: „Czekamy ciebie, śmiertelna zarazo, któraś do czarnej śmierci jest podobna. Wy, mali, biedni, jeszcze nic nie wiecie, jeszcze z przestachem marzycie o świcie, który do domu pozwoli powrócić. Czekamy ciebie, śmiertelna zarazo, coś z moru swoje korzenie wywiodła. Jeszcze cię nie ma, jeszcze co innego straszy okolicę. Zdaje się wam, że to, co jutro zgubę wam przyniesie, to najstraszniejsze, co zdarzyć się może. Jeszcze z nadzieją zamykacie oczy, jeszcze wierzycie, że świat się odmieni. Gdy na gruzach załopoczą chorągwie, zacznie się burza straszniejsza od wojny. Czekamy ciebie, śmiertelna zarazo, która przerażać będzie pokolenia”.

Wtedy słyszeć tamtych słów nie powinni, bo też co by im one dały. Strachu na swoich barkach można unieść tylko tyle, ile się da radę. Jego naddatek zwykle się rozprasza, znika, bo każdy ma swoje granice wytrzymałości. Dziewczynka zaś patrzyła wiele, wiele dalej w przyszłość, która tamtego wieczoru, jak i w kolejne wieczory żadnego z żołnierzy nie interesowała, bo ich zajmowała teraźniejszość.

Sierpień

Trzeciego dnia folgowania w Borku, nadszedł prześliczny poranek, jeden z tych, który rozpieszczał serca i oczy. Ptaki śpiewały jak opętane. Choć już sierpień w kalendarzu wyskoczył, to chłodu nikt nie czuł. Jeśli mieli nadzieję, że wojny nie będzie, to ten poranek – przypominający swoim przepychem dzień świąteczny – nadzieję tę w nich zabił. Gdy tylko

otworzyli oczy, zatrąbiono na zbiórkę. Zgromadzili się na wielkim podworcu, a najbardziej lubiany pośród żołnierzy porucznik Mikulski włożył na beczkę i zwrócił się do zebranych.

Prawił o wojnie, o tym, że dla żołnierza największą chwałą jest śmierć na polu bitwy, pocieszał, że pogrzeb takiemu się wyprawia huczny, nad trumną gra muzyka, koledzy salutują. Na wojnę idzie się umierać i dobrze mieć tego świadomość, ale zabronił płakać, gdy pocisk jednemu z nich piszczel przestrzeli. Nad raną sznurek przewiązać kazał i lecieć do szpitala. Mogło się zdarzyć nawet zwycięstwo, a wtedy wszyscy z orderami do domów mieliby powrócić, dziewczki wieszałyby się im na szyjach, muzyka, wiadomo, fanfary, wieńce laurowe i zabawa rozpustna przez tydzień. Ot i tyle, cała treść mowy jego. Cała i prosta.

Kiedy się pośmiali, padła komenda:

– Batallionsweise rechts Front!³

Pułkownik zszedł z beczki i razem z kapelanem stanął przed oddziałami. Przyniesiono sztandar pułkowy.

– Do nogi broń! Do modlitwy!

Wszyscy podnieśli dwa palce prawej dłoni i przyłożyli do daszka czapki. Orkiestra zagrała pieśń *Ojcie, ja wzywam Cię*. Gustaw poczuł gułę w gardle. Działo się coś niezwykłego, coś wielkiego i ostatecznego, coś, czego konsekwencji nie mógł przewidzieć żaden z nich. To jak zapalić lont. Jedna iskra, a spłonie pół świata. Jedna iskra, ale z tej iskry pożar niczym nieokiełznany żywioł, bez posłuchu i reakcji na „halt!”. Tego poranka czuł wzruszenie i nastrój podniosły, bo nic więcej czuć nie mógł.

– Habt Acht!⁴ – wrzasnął major dowodzący ich batalionem. – Bataillon rechts um! – Zrobili ćwierć obrotu w prawo.

– Bataillon, marsch!

I poszli na wschód. Muzyka grała marsz Radetzky'ego. Kobiety łkały. Psy wyły. Słońce prażyło. Pachniało podsuszone siano. Buraki pyszniły się na polach, które mijali, łądygi ziemniaków jeszcze nie uschły. Żołnierze kurzyli papierosy i maszerowali rażno, jak na ćwiczeniach.

Wielu, którzy obserwowali ten marsz, porażał widok takiej ilości wojska. Z każdego miejsca ciągnęły sznury taborów wraz z chłopskimi i żydowskimi furmankami. Co jakiś czas pokazywała się artyleria. Sami żołnierze nie wiedzieli, dokąd zmierzają. Za każdym zakrętem spodziewali się Moskali. Dowódcy nikogo nie informowali o miejscu, w którym miała się rozpocząć bitwa. Kiedy tracili ducha, dostawali rozkaz: śpiewać! Śpiewki te były głupie i rubaszne, czasem nawet świńskie. Podczas mszy polowych ksiądz mówił o miłości Boga i cesarza. Tylko o ojczyźnie nic nie gadał. Następnie udzielał im absolutionarium. Potem przysięgali po raz setny, że na lądzie i morzu, a nawet w powietrzu – czyli gdzie tylko mogłoby być nieprzyjaciel cesarza – bić go będą z całych sił i z ogromnym poświęceniem.

Podczas jednego z postojów Gustaw znalazł „swoich”. Dowodził nimi dr Neumann. Wiecznie zagniewany Niemiec, bo był z tych, którym nigdy nie dogodzisz. Bez litości zganiał z wozu sanitarnego każdego, kto przychodził, kulejąc z powodu odparzonych stóp. Wściekle

³ Batalion w prawo front!

⁴ Bądź ostrożny!

łał ich szpicrutą. Nakrzyczał na Gustawa, aby mu głowy nie zawracał i zgłosił się do niego, kiedy będzie potrzebny. Czyli, gdy poleje się krew.

Polała się po piętnastu minutach, gdy wyszli dziarsko z lasu na otwartą przestrzeń. Była to niby łąka, ale mocno podmokła. Ich ojcowie powiedzieliby, że bydło takiej trawy nie chciałoby jeść, a gdyby jednak to zrobiło, to mleko byłoby kwaśne i niesmaczne.

Gdy wyszli na tę łąkę, niebo runęło im na głowy. Pomiędzy świstem kul usłyszeli:

– Batallions rechts frontieren! Kompanien! Züge auf gleicher Höhe rechts!⁵.

Gustaw nie zdążył wrócić do medyków. Ci zaś, wiedzeni instynktem albo lepiej od żołnierzy poinformowani, zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Oficerowie, tabory i kuchnia polowa ulotnili się równie błyskawicznie i to tak sprawnie, że nie pozostał po nich nawet kurz.

Artyleria rosyjska dodała „serdeczności” do wcześniejszego „dzień dobry” i przyładowała setką szrapneli, które nadleciały jak wściekłe szerszenie wykurzone z bani. Cały pluton jak na komendę runął na ziemię wraz z podoficerem, a każdy żołnierz wbił głowę w cuchnącą murawę. Pucowało im plecaki i łąkę dookoła, potok ziemi co chwilę chlustał na głowy, twarze, zasypywał oczy i usta. Krztusili się, pluli, a ci mający mniej szczęścia wzywali Jezusa, Matkę Najświętszą albo Wszystkich Świętych. Wili się z bólu, ale nie można było im pomóc. Artyleria austriacka odpowiadała rzadko i mało ofensywnie. Rozochoceni Moskale zbliżali się do nich szybko i nikt nie stawiał im oporu. Ich ostrzał stawał się jeszcze intensywniejszy, jakby postanowili wybić ich tutaj, na tych mokradłach. Pewni siebie, zaprawieni w wojnie z Japonią zdawali się Austriakom jeźdźcami Apokalipsy, którym na próżno było się przeciwstawiać. Kiedy milkła artyleria, pałeczkę przejmowały karabiny maszynowe. Walily serią za serią z taką mocą i intensywnością, że nie było sposobu, aby podnieść głowę, a co dopiero aby się rozejrzeć za możliwością ucieczki.

– Sakra, Jezis, Maria! – pisnął Filipek, nakrywając ramionami swoją łepetynę. – Sakra, och sakra, Jezis – jakby się zaciął.

Ziemia drżała, sprawiała wrażenie, że przebudził się w jej wnętrzu potwór i zamierzał wyjść, rozrywając skorupę.

Kapral Mietek niczym „wańka-wstańka” to się podnosił, to padał. W pierwszej chwili myśleli, że się wygłupia, ale zaraz potem pojęli, co zamierzał. Dlatego jak jeden organizm, gdy kule niczym wiosenny grad zasypywały okolicę – skoczyli na nogi. Jak kurczęta przytulone do kwoki ruszyli za kapralem. Pędzili w tym gradzie, nie wierząc, że przetrwają. Nie oglądali się za siebie, tylko ile który miał siły w nogach pokonywali mokradło, a za nim buraczysko. Co chwilę potykali się na bulwach, ale nie tracili tempa. Gdy dopadli lasu, runęli jak kłody i wylądowali pośród paproci i mchu. Przez moment poczuli się bezpieczni.

– A niebo jakby nigdy nic – wydyszał Wąs, gapiąc się do góry.

– Co ty pierdzielisz?! – zezłościł się Gustaw. Poprawił hełm i splunął kilka razy, aby pozbyć się piachu spomiędzy zębów. Ledwo oddychał. Dyszał jak parowóz, jak astmatyk, jak przerażony starzec.

Niebo nad nimi faktycznie przypominało chabry. Spokojnie wisiało nad czubkami drzew, jak podczas sjesty nad Wisłą koło Wawelu. Czysto niebieskie. Wspaniałe. Bez ani

⁵ Bataliony frontem w prawo. Kompanie, plutony na równej wysokości.

jednej chmurki. Wisiało pogodnie nad porozrywanymi ciałami. Jakby łąsiło się do pastuszka, który na fujarce, nieco fałszując, wygrywał maryjne pieśni. Kanonada ciągle trwała, dlatego leżeli pośród mchu, starając się nie tracić wiary. Nieco później dowiedzieli się, że prawdziwą sztuką na wojnie nie jest atak a skuteczna ucieczka.

Leżeli tak z pół godziny. Dołączyło do nich jeszcze kilku spoconych i czerwonych na twarzach szeregowców. Na szczęście Rosjanie nie zrobili za nimi pogoni. Przynajmniej nie teraz. Kiedy kanonada się nieco uspokoiła i zdawało się, że karabiny maszynowe coraz rzadziej się odzywają, Mietek ostrożnie podniósł głowę.

– To by było na tyle – stwierdził – swoiste tête-à-tête. – Spojrzał na chłopaków. Choć był surowy, to serce się w nim skurczyło. Żał ich i tyle. – Rozejrzyjmy się za oficerami – rozkazał – ale chłopcy – pogroził palcem – ostrożnie! Broń w gotowości i wzrok sokoli. – Podniósł się. Reszta, nawet ci obcy, zrobili to samo.

Kiedy wydostali się z lasu, było już prawie ciemno. Trawa śliska od rosy. Strzelanina ustała. Żaby rechotały. Spotkali grupki z trzech kompanii drugiego batalionu. Podobnie zmęczeni i brudni szukali miejsca na nocleg. Tę noc spędzili w stogach siana. Byli głodni i chcieli się im pić.

– Może zaśpiewasz Trzmielu? – zapytał Gustaw.

– Co też ci po głowie chodzi – zachnął się Mietek – siedzieć cicho jak myszy pod miotłą!

– I tak ni mom w płucach dychu – odparł zachrypnięty Trzmiel.

Źle się Gustawowi spało. Przebiegały mu po głowie majaki związane z historią jego rodziny. Kolejny raz czuł się winny, chociaż niczego złego się nie dopuścił. Mimo tego cały świat odwrócił się od Jedliczyńskich, a wszystko przez jego wuja, hrabiego Aleksandra Jedliczyńskiego.

– Baczność! – Mietek szarpnął go za ramię – zbieraj się młody! – Gustaw spojrzał na niego nieprzytomnie. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i co się dzieje. Przez moment nie rozpoznawał kaprała. Potrzebował przynajmniej trzech zdrowasiek, aby się docucić, aby usunąć z głowy twarz Hanki.

– Mietek – usłyszał szept Wąsa, który niezgrabnie wygramolił się ze stogu – znowu widziałem tę dziewczynkę. – Otrzepał z siana mundur.

– Rozum żeś za miedzą zgubił?

– Widziałem ją, machała. O, tak! – Zademonstrował.

W brzasku wstającego dnia żołnierze jak ślimaki bez skorup wypełzli z kryjówek. Niewyspani, głodni i niepewni dzisiejszego dnia zaczęli się grupować, coś planować, rozmawiać. Dowództwo objął nieznany z nazwiska oficer. Padł rozkaz, aby odnaleźć resztę wojska, a wraz z nim kuchnię polową. Dzień zapowiadał się upalny. Niebo było bezchmurne. Słońce radosne. Ruszyli. Za niecałe półtorej godziny znaleźli trzy kompanie z drugiego batalionu, a niedługo potem spotkali się z trzecim, czyli swoim batalionem. Odnalazł się też dowódca pułku a nawet lekarz.

Doktor Neuman stał przed namiotem. W koszuli po łokcie skąpanej we krwi palił zachłannie i wściekłym spojrzeniem wodził po otoczeniu. Gdy dostrzegł Gustawa, wydał grube, oślinione usta i splunął.

– O! Jednoroczny pan Polak się pofatygował – sarknął. Pot ciekł mu po skroniach. Rozchodził się od niego potworny fetor, którego Gustaw jeszcze nie potrafił nazwać.

– Melduję się panie... – Stanął na baczność.

– *Verpiss dich*⁶ – przerwał mu. Machnął ręką i rzucił peta pod nogi. – Przydasz się tyle, co chuj! – Zniknął w namiocie, z którego rozległy się krzyki.

Obóz medyczny stał na tyłach wojska, z dala od walk. Lekarze przemieszczali się zgodnie z tempem marszu wojska.

Tego dnia był fajrant. Moskale przerzucili siły na inną stronę, co pozwoliło wojsku cesarza doprowadzić swoje szeregi do porządku. Koledzy Gustawa mogli już odpocząć, ale dla niego i kilku jeszcze osób zaczęła się harówka. Nieszczęsne pole skojarzyło mu się z psim polem, a jego robota z psim obowiązkiem. Psie pole, zawałone ciałami rannych i zwłokami, sprawiało wrażenie toczonego przez czerwie trupa ziemi. Kiedy strzały ucichły, z domów opodal zbiegły się psy. Chude, z wystającymi żebrami i zjeżoną sierścią na grzbiecie szarpały skrwawione szczątki. Musieli się nieźle namachać kijami, żeby je odpędzić, jednak nie udawało się ich przegonić całkowicie, jedynie na kilka kroków. Do tego dokuczały sanitariuszom całe chmary much. Prażące słońce i błyskawicznie psująca się krew przyciągały owady jak plaster miodu pszczoły. Brodzili w grząskiej ziemi, lepkiej i dziwnie miękkiej. Selekcjonowali ludzi na zmarłych i rannych. Ci, co szli za nimi, zmarłych od razu grzebali. Potem, po latach ludzie będą narzekać, że podczas upału ta ziemia puchnie, pęka i cuchnie. Nie chce rodzić, jakby gniła od środka. Tak będą mówić.

Więcej było rannych. Na szybko tamowali krwotoki i nieśli jęczących do obozu. Ale to był dopiero początek. Jeszcze były opatrunki, bibułki do tytoniu, miska zupy, chleb i woda. Jeszcze świeciło słońce. Co prawda nie myli się już od miesiąca, a ich niezmienniana bielizna przypominała szmatę do podłogi – ale jeszcze nie tracili ducha. Dopóki Gustaw zbierał po bitwie obcych ludzi, dopóki nie znajdował pośród nich przyjaciół, ciągle wierzył, że ta przekłeta wojna szybko się skończy.

Galicja, październik

Z ich marszu na Warszawę niewiele wyszło, dostali porządną pucówkę, taką, jakiej się nie spodziewali, dlatego, ledwo zapiąc, z niejaką ulgą powitali Galicję. Kwatery rozstawiono w pobliskiej wsi. Żaden z żołnierzy nie miał pojęcia, co to była za wieś. Jej nieliczni mieszkańcy na widok wojska pierzchli w pola i do lasu. Trudno było zgadnąć, gdzie dokładnie, ale nikt sobie nie zawracał głowy przerażonymi wieśniakami. W chałupach niewiele znaleźli do jedzenia, bo cóż to jest kilka podpleśniałych podpłomyków czy trochę ziarna pszenicy, które gryźli zachłannie, albo troszkę fasoli. Za to były stodoły ze słomą i sianem. Czyli kawałek suchego miejsca, w którym mogli się schronić przed deszczem.

Tylko kowal nie uciekł. I choć nie palił ognia ani nie uderzał w kowadło, a jego kuźnia wionęła martwotą, nie wyglądał na przestraszonego. Deszcz też miał w nosie. Siedział na wysokim progu swej kuźni i gryzł słomkę. Siedział tak sobie i nic więcej. Patrzył w strugi deszczu, których lodowaty potok obmywał mu bosc, sine stopy. Gustaw na wiadomość o

⁶ Spierdalaj!

postoję postanowił podskoczyć do kaprała Mietka i reszty. Idąc do nich, minął kowala i kiwnął mu, zauważył jego ponure spojrzenie i okopconą twarz, ale szybko o nim zapomniał. Wszedł do stodoły i od razu zrobiło się mu przykro. Wszyscy leżeli pokotem. Mokrzy. Ubłoceni po same pięści. Błdzi, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Nie spali. Milczeli; nawet Trzmiel.

– Młody? – zapytał cicho kapral. – Siadaj, gdzie chcesz. Jak tam ci?

Chłopcy podnieśli głowy, machnęli do niego. Nie wiedział, że wyglądał jak oni. Miał takie same podkowy pod oczami i podobnie wklęsłe policzki. Tak samo czarne paznokcie i zapadnięte w czaszkę oczy.

– Do dupy – westchnął.

Odpowiedzieli mu mruknięciem zrozumienia. Rozejrzał się.

– Gdzie „Jezis, Maria”?

– Tam – pokazał na drzwi Wąs, którego już prawie nie było, bo nazwać go w tamtej chwili chudym byłoby nadużyciem. Jego długie palce już nie były szczupłe, a druciane. Straciły również swoją giętkość.

– Potrafisz jeszcze – Gustaw spojrzał na niego – zagrać Szopena?

– Szopena? – Uśmiechnął się, jak uśmiecha się dziecko na myśl o obiecany lizaku. – Jasne. Słyszę go w głowie cały czas – powiedział sennie.

Serce się w Gustawie skurczyło. Usiadł przy drzwiach. Podciągnął kolana do piersi i wsłuchał się w deszcz. Starał się nie myśleć o tym, że jest przemoknięty do kręgosłupa i że wstrząsają nim dreszcze podobne do tych, które dręczyły jego kolegów. Starał się nie pamiętać o piekającej go dupie od dyzenterii i burczeniu w brzuchu. W południe tego dnia dostali niby zupę. Była to woda z kilkoma ziarenkami ryżu. Bibułki do tytoniu się skończyły, więc dostali pocięte kawałeczki gazet i liche przydział tegoż tytoniu. Zbliżał się wieczór, a nikt na posiłek nie wzywał.

– Trzmielu? – ocknął się Gustaw – opowiedziałbyś zagadkę.

Ten usiadł, spojrzał na niego ponuro, poskrobał się po głowie palcami obłączymi ze skóry i odchrząknął:

– Kiedy żadny nie pamintom. – Przewrócił oczami i runął na wznak.

Deszcz siąpił na zewnątrz, zimny wiatr wciskał się przez szpary między deskami. Cuchnęło stęchlizną. Mroźne powietrze sprawiało, że grabiły dłonie. Kałuże obficie wpływały do środka, zalewając klepisko. Tam gdzieś był świat. Świat ze słońcem i ogniem w kominku. Świat z ciepłym mlekiem i kromką chleba bez robaków. Świat bez wszy, bez pcheł i pluskiew, i bez biegunki, która męczyła cały pułk. Świat. Gdzieś tam... był świat. Inny świat. A może ten inny świat został już w przeszłości, może przez to, że go nie ma teraz tutaj, nie będzie go i w przyszłości?

Kowal, jak wcześniej, siedział naprzeciwko stodoły i być może, gdyby się nie odezwał, to Gustawowi udało by się zasnąć. Ale się odezwał, a Gustaw usłyszał jego słowa: „Na wieki wieków”. Poderwał się i spojrzał przez dziurę po sęku. Koło kowala spostrzegł pochyloną postać w szarej, zużytej pelerynie, z kapturem na głowie. Peleryna niczym druga skóra ciasno przylegała do jej okrągłych pleców. Strużki deszczu skapywały z brzegu kaptura. Przybysz wyprostował się nagle i spojrzał na wrota stodoły, jakby wyczuł obecność Gustawa. Ten

odskoczył od drzwi, ale nim to zrobił, rozpoznał twarz żebraka, którego widział w Krakowie. Było to w dniu, kiedy ogłoszono wojnę.

Ciarki Gustawowi przebiegły wzdłuż kręgosłupa. Ochłonął nieco, podszedł na palcach do otworu po sęku i zaczął podsłuchiwać.

– Młody – stęknął przebudzony Mietek – legnij na słomie i oddychnij, a nie filujesz jak panna na gościńcu!

Gustaw uciszył go ruchem dłoni. Wyteżył cały swój słuch. Słyszał deszcz i bulgoczącą wodę płynącą wzdłuż wsi. Słyszał też głosy, ale mało co rozumiał.

Chłop czegoś nie chciał. Co chwilę uparcie powtarzał coś, co brzmiało jak: „Nie póde. Nie sce”. Albo może chodziło o: „Nie. Póde!”. Nie sposób było tego wywnioskować ze strzępków, które doleciały do ucha Gustawa. Przybysz mówił bardzo cicho. Gustaw znowu spojrzał przez dziurę. Dziad machał wieśniakowi dłonią przed twarzą, coś mu tłumaczył, do czegoś przekonywał, ale tamten uparcie kręcił głową. W końcu poderwał się z progu, jakby wewnątrz wykipiało mleko, pochwycił szeroką garścią ramię dziada, klepnął go w nie kilka razy i znikł w czeluści kuźni. Podróżny w tym czasie mocniej naciągnął na siebie pelerynę i kaptur, rozejrzał się dookoła, chuchnął w zgrabiące dłonie. Uważnie przyjrzał się drzwiom, za którymi podsłuchiwał Gustaw. Po chwili wygramolił się chłop i coś wręczył przybyszowi, a ten zgrabnie schował to w dłoni.

Poza Gustawem podglądał ich inny szeregowiec, tyle tylko, że miał lepsze miejsce i wszystko, o czym mówili, doskonale słyszał. Wędrowiec chciał wieśniaka zabrać z sobą. Mówił o wsi schowanej w środku puszczy, uważał, że tam będą bezpieczni. Stary pytał, co mówią żołnierze, chłop twierdził, że idą pod Sandomierz. Zgodzili się, że Moskał musi siedzieć za Wisłą.

– Błazeju – zawołał chłop, gdy Dziad odszedł już kilka kroków – niech wom będzie lży nis do tyj pory! – Uniósł rękę na pożegnanie.

Szeregowiec czym prędzej pognął do sierżanta. Gustaw wyskoczył na ulewę. Zrobiło się mu nieprzyjemnie, gdy już nieco przeschnięte ubranie na nowo przemokło. Podbiegł do kowala i krzyknął:

– Z kim gadałeś?

– Panie – roześmiał się – cłek do siebie samego gada, nawet nie pomni, że nikogo przy nim ni ma. Nawykły do mielenia ozorem i tak se miele – zarechotał.

– Nie opowiadaj bzdur, widziałem starca! – zezłościł się.

Chłop gwizdnał.

– Ot i niesceście. – Spojrzał na niego małymi, chytrymi oczkami. – Musi się przywidziało mości. To z tego zmencenia. Oddychnij wać, oddychnij ździebko, póki se mozes. – Mrugnął do niego po przyjacielsku, czym doprowadził Gustawa do furii.

Gustaw złapał chłopca za bary i potężnie nim potrząsnął.

– Gadaj! – Oczy mu zaszyły mgłą. Z ust pociekła piana. Jakże to, że swój swojemu nie chce powiedzieć?! I do tego drwi jeszcze!

– Bacność!

Obaj spojrzeli w kierunku, z którego doszedł głos. Gustaw w swoje prawo, a kowal w swoje lewo. Chłop się skurczył, a Gustaw wyprężył pierś. Oto ukazał się im suchutki i w całej swej krasie nikt inny jak sierżant sztabowy. Patrzył na nich z ukontentowaniem. Dokładnie

tak samo, jak patrzy pryszczaty dziesięciolatek na muchę, którą nakrył szklanką. Oczami wyobraźni widzi, co jej zrobi. Jak wyrwie jej jedną nóżkę, potem drugą. Skrzydełka zostawi na koniec. Będzie miała nadzieję, że jeszcze ucieknie. Cóż za przyjemność.

– Jednoroczny! Co tutaj się dzieje?

Niech cię szlag – pomyślał Gustaw. Kątem oka dostrzegł zbliżający się patrol. Zacisnął pięści. Nie potrafił zapomnieć sierżantowi, że przez jego pazerność, przesiedział cały kwiecień i maj w kozie, znaczy w areszcie koszarowym. Bo wracając ze Świąt Wielkanocnych nie przywiózł mu prezentu ani nie dał pieniędzy. Z jakiej racji miał mu dać?! Do teraz na samo wspomnienie krew w nim wrzała. Jednak wybronić się nie zdołał. A ten psi syn postawił go do raportu kompanijnego, bo zamiast wrócić pociągami o dwunastej w nocy, to wrócił o piątej rano. Ubiję tę świnię, jak tylko będzie okazja, zarzekał się wtedy Trzmiel, ale do dzisiaj, jak widać, nie dotrzymał słowa.

– Melduję posłusznie, że wszystko w najlepszym porządku, panie sierżancie! – wydeklamował czysto, na jednym wdechu, nie dając poznać po sobie, że ciągle miał urazę do sierżanta za tamtą wiosnę.

– Milczeć, hołoto! – wrzasnął sierżant i od razu zapomniał o pytaniu.

Dopiero się rozkręcał, jeszcze nie miał pomysłu, ale jego „wewnętrzny punkt G” już napęczniał, już drgał przyjemnie, rozsiewając po jego sflaczałym ciele pełne rozkoszy mrowienie.

– Ten człowiek sprzyja Moskałom! – Wskazał na kowala.

To zbiło z tropu Gustawa. To ci sukinsyn, pomyślał, ale zbyt długo się zastanawiał nad odpowiedzią, bo sierżant kazał chłopca aresztować, a jego kuźnię przeszukać i czekać na dalsze rozkazy.

– Panie sierżancie! – Gustawowi wyszło w gardle. – On niewinny. Nierozgarnięty.

Chłop wytrzeszczył na niego oczy, a kudłata czupryna cofnęła się mu razem z czołem, jakby zsunął sobie do tyłu kapelusz. Otworzył głupawo usta i gapił się na sierżanta, jakby faktycznie miał coś z głową.

– Szarpałeś go, jednoroczny!

– Nie szarpałem.

– Szarpałeś! Widziałem.

– Nie przypominam sobie.

– Szarpał cię?

Chłop począł się kiwać. Rwał włosy z głowy. Kiwał głową, ale zaraz nią kręcił. Rzęził przy tym niemilo, strasznie nawet, jakby coś mamrotał, ale przez nos. Nie były to słowa, a dźwięki. Przykre. Wewnętrzne.

– Co to Bławatne? – huknął zniecierpliwiony sierżant. – Kim jest Błażej?

Gustaw z ciekawością spojrział na wieśniaka. Ten jednak ciągle bił się w piersi i tym razem więcej kręcił głową, niż nią kiwał. Deszcz ciągle siąpił. Chłop był skostniały z zimna. Zanosił się płaczem. Gustaw ze zgrozą spojrział na sierżanta. Rozejrzał się, chcąc znaleźć winnego, jednak para Austriaków, która stała obok – milczała. Za to on wiedział, co oni za jedni. To ci z tyłów, którzy strzelali do każdego ze swoich, gdyby jakiś chociaż o krok się cofnął z frontu. Żołnierze mówili między sobą, że oficerowie nie prowadzą ich do ataku dlatego, że boją się, aby któryś z nich nie strzelił im w plecy.

– Aresztowany! – Sierżant wycelował dłonią w chłopca.

Dwóch ludzi, przedstawionych wcześniej, stanęło obok niego.

Wieśniak spojrział ukradkiem na żołnierzy i nie powstając z kolan, ciągle bił się w piersi. Kwilił i jęczał.

– Czekać na rozkazy! – polecił sierżant. Potem spojrział na Gustawa. – A ty, jednoroczny, odmaszerować!

Deszcz ciągle lał. Chłop klęczał. Austriacy stali. Tylko Gustaw się szamotał sam ze sobą. W końcu stanął i on, tyle że naprzeciwko kowala. Coś mu chciał powiedzieć, jakoś zareagować, żeby samemu poczuć się lepiej. W tym momencie, gdy pochylił się w stronę wieśniaka, nadbiegł Filipek. Pędził jak lis ze zdobyczą, a że miał kurzą ślepotę, to wpadł w sam zadek Gustawa. Ten huknął głową w czuprynę kowala i wszyscy trzej runęli wprost w kałużę. Austriacy wycelowali w nich karabiny.

– Jezis, Maria! – jęknął Filipek, rozcierając czoło. – Sakra, Maria Magdalena! – Niezgrabnie próbował wstać z kolan. Kiedy uniósł głowę i zajrzał lufom w nozdrza, przeżegnał się, ale tylko jedną ręką i to lewą. Znaczyło to, że prawa coś chowała i najwidoczniej nie potrafiła się z tym czymś rozstać.

– Zgłupiałeś? Ladacznicę wzywasz? – Gustaw podniósł się dość lekko, ale poczuł, że z czoła cieknie mu krew, więc starał się ją zatamować.

Najgorzej miał się chłop, bo uderzył potylicą o własny próg z taką mocą, że się nie podnosił. Austriacy stracili rezon, Gustaw poczuł się jeszcze gorzej niż przed minutą. Jeden ze strażników kopnął wieśniaka w kolano, ale nic to nie dało. Kopnął raz jeszcze, ale z takim samym skutkiem. Spojrział na kolegę, a ten rozkazał:

– Sanitariusz, do roboty! Cucić!

Gustaw z ociąganiem pochylił się nad kowalem i sprawdził mu puls. Delikatnie, ale bił. Strzelił go kilka razy w twarz, dzięki czemu ten zamrugał oczami i usiadł. Wszyscy trzej odetchnęli z ulgą. Tylko Filipek nie był w temacie, ale kiedy chciał się ulotnić, strażnik Cpochwyił go za kołnierz, co sprawiło, że jego kapota rozwarła się, a spod prawego ramienia wyrzała najprawdziwsza kura. Tyle że ze skręconym karkiem. Przełknęli ślinę, a to przełknięcie zabrzmiało jak głąz wpadający w odmęty studni. Trzeba by ją gdzieś upiec – pomyśleli równocześnie – i cokolwiek obrać z piór, ale gdzieś poza obozem, wszak to tylko jedna kura na czterech. Poza tym ciągle obowiązywał zakaz rekwizycji i to pod groźbą kulki w łeb.

– Co to ma być?!

Zrobili ćwierć obrotu w prawo i z wyprężonymi piersiami stanęli naprzeciwko sierżanta. To ci szuja! – pomyślał Gustaw – już coś obmyślił. Filipek rzucił kurą w ciemność. Chłop podniósł się niezdarnie, chociaż nie było po co. Sierżant jakimś sukinsynowskim zmysłem wyczuł spisek. Cuchnęło fałszem, a on dobrze znał ten smród. Nim chłop pewniej stanął na nogach, sierżant porwał karabin jednego ze strażników i strzelił mu w głowę. Ten runął w kałużę. Zagarnął ramieniem błoto, a palce jego dłoni rozwarły się, by po chwili znieruchomieć.

– Do kwater! – wrzasnął – żebym żadnego już nie spotkał. Schnell! – Zatoczył się i chwiejnym krokiem ruszył do swojej chałupy.

Filipek rzucił się do wymacywania ptaka. Strażnicy z napięciem obserwowali jego ruchy. Gustaw przeszukał chłopą. Kiedy się wyprostował, dostrzegł trzech ludzi na klęczkach macających ziemię. Ale ptaka nie znaleźli. Jak nic uciekła im martwa kura!

Kraków, październik

– Nie! – Filomena cisnęła w matkę szkatułką.

Kobieta uchyliła się, dzięki czemu nie dostała w głowę. Zawartość pudzderka rozprysła się po brudnej podłodze, bo stara Franka jeszcze nie przyszła posprzątać. Perły potoczyły się pod łóżko wprost w koty kurzu i pajęczyny. Franka sprzątała na pół gwizdka.

– Nie mamy dokąd pójść, ojciec kazał czekać – powiedziała płaczliwie hrabina. Szczupłe ramiona bezradnie zwisły wzdłuż jej drobnej sylwetki. Wyglądała jak zwiędły kaczeniec pozbawiony wody. Mimo że tej wody za oknem nie brakowało.

Lało od rana, tak jak wczoraj i przedwczoraj. Ulice zamieniły się w błoto. Ciągły szum deszczu za oknem – w spokojnych czasach – potrafił uspić, dzisiejszego jednak poranka wszystkich w mieszkaniu Jedliczyńskich denerwował.

– Uspokój się. Dziecinko! – Hrabina chciała ją objąć, ale dziewczyna ze wstrętem odtrąciła jej rękę. – Co w ciebie wstąpiło?

– Zawsze w niej było – syknęła niania i umknęła do kuchni.

– Nie zamierzam się uspokoić. – Filomena przeszła wzdłuż ściany z okien. – Zaraz na początku prosiłam Gustawa, to nie, bo on wielki generał, on ma powinności wobec zwierzchniej władzy! – Rzuciła o ziemię porcelanowym wazonem. – Siedzimy tutaj już trzeci miesiąc i nic! Nikt, nikt nam nie pomoże. Gdyby Hanka żyła, byłoby ich tutaj na pęczki! – Przytuliła się do okna. Nawet nie spojrzała na skorupy wazonu.

Jej matce, Halszce, zapało dech.

– Kogo? – zapytała, choć wiedziała.

Filomena spiorunowała ją wzrokiem.

– Nawet ojciec by przybył!

– Fifi, bądź sprawiedliwa, on nie zawsze może, ale kiedy może, to nam pomaga i o nas dba. – Hrabina próbowała mówić łagodnie. Spojrzała na córkę z roztargnieniem i jakby dopiero teraz zrozumiała jej wcześniejsze słowa. – Jednostka Gustawa wymaszerowała jeszcze w lipcu – powiedziała smutno – kiedy miał nam pomóc? Kto wie, co z nim teraz, może to on potrzebuje pomocy. – Przyłożyła śliczną dłoń do ust.

– No pewnie! – warknęła hrabianka – wszystkich tłumaczysz, jak naiwna święta – wydeła z pogardą usta – nawet jakby do ciebie kto strzelił, to wdzięczna byś mu była za to, że nie bolało!

– Filomeno!

Dziewczyna wzruszyła ramionami, zapatrzyła się w rozlane strużki deszczu na szybie. Nagle odwróciła się w stronę matki.

– Nie będę siedzieć na beczie prochu. Siedzieć i kolejny raz czekać. Więcej czekać nie chcę! Od kiedy pamiętam, wiecznie czekamy na ojca!

– Ale życie polega na czekaniu – szepnęła hrabina.

Oczy dziewczynie błysnęły.

– Może twoje – syknęła. – Swojego sobie nie pozwolę odebrać. – Znowu obróciła się twarzą do okna. Białe światło przytuliło się do jej czoła. Oddychała szybko przez otwarte usta. Biała bluzka z żakardem na piersi falowała niczym wzburzone morze. – Nienawidzę – powiedziała głucho, sprawiając, że szyba zaparowała od jej oddechu. – Nienawidzę tego twojego poddaństwa, tej szkaradnej rezygnacji, tej bezwoli, jakby bez ojca nic się nie mogło wydarzyć. – Paznokciem skrobnęła framugę.

– Kochanie, co ty wygadujesz? – Hrabina przyłożyła ręce do twarzy. Oczy ją zapiekły.

– No tak, rozplacz się, tylko tyle potraficie – obróciła się do matki – pachnieć i płakać, dygać i spuszczać oczy, głupie świnki morskie mają więcej werwy do życia!

– Skąd w tobie tyle gniewu? Usiądź, dziecko. Karolcia! – krzyknęła w stronę kuchni.

– Karolcia, kropelki, kropelki, krop... – Przeszła do kuchni. – Czemu nie przychodzisz?

Filomena wydeła usta i znowu odwróciła się do okna.

– Kropelki – prychnęła.

Na wszystko miały kropelki, zezłościła się w myślach, herbatki albo dobre krawcowe, a w najlepszym razie kawiarnie ze słodyczami. Bezradne, głupie matrony o bezbarwnych twarzach i staromodnych fryzurach. Wiecznie przejęte tym, co myślą o nich mężczyźni i czy aby spódnica się im nie zmięła. Bezużyteczne kobiety o łagodnych oczach i bladych uśmiechach. Poruszały się z gracją bez pośpiechu. Nie ulegały emocjom i nigdy się nie pociły. Kobiety bez wypieków na policzkach, bez iskrzących się oczu, bez zmarszczonych czoł, bez własnego głosu.

Otworzyła okno, by lepiej widzieć, co się działo na ulicy. Wiatr wraz z deszczem wtargnął do pokoju chlusnął jej w twarz lodowatą bryzą. Tramwaj głośno zadudnił po szynach, leniwie skręcił w ulicę Lubicz i zatrzymał się. Lubicz była nieprzejezdna. Blokowały ją drożki, bryczki wypełnione pakunkami i piesi. Pod jej oknem sunęły tabory ludzi dźwigających na plecach toboły wypchane rzeczami z życia, resztkami świata, który się kończył. Błdzi i przestraszeni śpieszyli na dworzec. Obydwa dworce: pasażerki i towarowy jeszcze działały.

– Karolcia się źle poczuła. – Matka weszła do pokoju, niosąc butelkę z lekarstwem i łyżeczkę. – Bo się zaziębisz! – Podbiegła do okna, z trzaskiem je zamknęła i przyłożyła córce dłoń do czoła. – A może już jesteś chora? – Chciała na siłę wepchnąć jej do ust łyżeczkę z gorzkim płynem.

– Zwariowałaś? – Filomena podbiła jej rękę, płyn rozchlapał się po podłodze. – Czy kiedykolwiek te krople pomagały?

– Za każdym razem.

– Współczuję ci – powiedziała łagodniej – spakuję się.

– Co ty mówisz?! – Hrabina naląła drugą porcję i sama łyknęła. – Mamy czekać. Karolcia przerażona, nie chce jechać. Cyganka jej wczoraj wywróżyła, że przed nami zaraza z moru, że nie możemy nogi z miasta wystawić, bo pomrzemy jak muchy. – Jej słowa nie zrobiły wrażenia na córce, która wyciągnęła torbę. – Niczego jeszcze nie brakuje, działają dwa kina, dwa teatry nawet, restauracje. Nie będziesz się nudzić – Halszka przełknęła dwa

potężne łyki mikstury prosto z butelki – na pewno po Rynku ludzie spacerują beztrzesko... – ciężko opadła na fotel – w tym deszczu. – Skończyła płaczącym głosem.

– Każą gromadzić żywność na trzy miesiące, jeżeli teraz nie wyjedziemy, to już potem ani tyle. – Filomena wrzuciła do torby, co jej wpadło do ręki. Wszak nigdy się sama nie pakowała.

– Poczekaj, sprzedamy biżuterię, zdobędziemy żywność. Aleksander przyjedzie, doczekamy się spokoju.

– Nie. Dzisiaj wyjadę z tobą czy bez ciebie. Wyjadę choćby na żydowskiej biedce!

Matka aż podskoczyła.

– Karolcia! – wrzasnęła.

– Tak, proszę pani? – Karolcia ciężko oparła się na klamce od kuchennych drzwi.

– Daj tych najmocniejszych. Nie! Nalewkę podaj!

Po kilku minutach Filomena wyskoczyła na zalaną ulicę. Ostrożnie przedarła się między tłumem, bo skierowała się w przeciwną stronę. Miała nadzieję na dorożkę, ale ani na Rynku, ani na Zwierzynieckiej żadnej nie znalazła. Błoto jej się wlewało do ślicznych, skórzanych trzewiczków. Mimo ciepłego palta, szybko zmarzła. Dobrze, że wzięłam rękawiczki – pochwaliła siebie w myślach. Zwierzyniecka była zapchana dorożkami, powozami i żydowskimi biedkami. Nikt nie zwracał uwagi na samotną Filomenę. Orszak kierował się do mostu Dębnickiego. Kiedy już zaczęła żałować, że się pośpieszyła z tą wyprawą, usłyszała, jak ktoś ją woła.

– Panieńka! Panieńka siada. Panieńka, tutaj, tutaj!

Rozejrzała się zagubiona. Błoto bulgotało pod końskimi kopytami, pod kołami. Powozy posuwały się wolno. Deszcz lał bezlitośnie. Miała już mokry kapelusz i całą twarz. Wiatr był lodowaty. Z zimna stężały jej policzki.

– Panieńka!

Nadal rozglądała się bezradnie, bo nikogo znajomego nie widziała. Nie zauważyła, że za jej plecami mały bułany konik zgrabnie lawirował między innymi powozami. Tak zgrabnie, że po chwili stanął z jej lewej strony.

– Panieńka siada, Kiwa Bobik saprasia – Żyd wskazał dłonią na miejsce koło siebie.

No masz ci los – jęknęła w myślach. Miała nadzieję na kogoś ze swojej sfery albo chociaż na porządnego mieszczanina, a nie na Żyda! Kiwa spostrzegł niezadowolone na jej twarzy, ale w końcu, po krótkim wahaniu panienka przyjęła jego pomoc. Nic o Kiwie nie wiedziała. Nie spostrzegła nawet, że kiedy ona się sadowiła, on gwizdnął na kogoś.

– Jusuś! – krzyknął Kiwa, ale i to nie zainteresowało panienki.

Z tłumy idącego obok powozów przyskoczył do niego wyrostek. Ten sam, który towarzyszył Dziadowi w jego podróżach i w lipcu salutował Gustawowi. Bobik wręczył chłopakowi zapisany zwitek papieru i kazał ruszać nazad. Szepnął mu jeszcze na ucho, że zatrzyma się u Kwiatka w Borku i nie będzie się śpieszył, dlatego jeśli młody się spręży, to go ze sobą zabierze.

Deszcz nieco zelżał. Pachniało zbutwiałymi liśćmi. Jesień leżała na ulicach utopiona w błocie i końskich odchodach. Kiwa zaciął konia i cmoknął, znowu się przemieścił i znowu. Robił to błyskawicznie i tak sprawnie, że nikt nie protestował. Nikogo też nie zahaczył ani nie

spowolnił. Dzięki temu nim Filomena się obejrzała, stanęli u wjazdu na most. Wojskowy dał znak, że można jechać. Kiwa cmoknął na bułanka.

Po Wiśle kręciły się uzbrojone parowce. Wawel wyglądał ponuro i oziębłe. Na błotnistym brzegu rzeki gromadziło się wojsko. Końskie kopyta złowróżbnie zastukały o kostkę brukową. Wjechali na most. Dopiero teraz Filomena poczuła ukłucie w sercu i niepokój. Zerknęła przez ramię do tyłu. Zmęczone chmury otaczały dachy i wieże, sina mgła gęstniała, a Wisła zdawała się ponurą, nieruchomą rozpadliną, z której wydobywały się nieskończone ilości oparów. Kiedy zjechali z mostu, dziewczyną wstrząsnęły dreszcze.

– Panienka zimno? – Nie czekając na odpowiedź, Kiwa wydobył z brudnych tobołów kawał wilczej skóry i okrył nią kolana dziewczyny. Już by mu hrabia dał, gdyby pozwolił przeziębic się jego córce.

Nie zareagowała. Wbiła tylko palce w miękkie futro i zacisnęła je na sierści. Jeszcze raz spojrzła za siebie, jak Gustaw w lipcowe popołudnie, aby się upewnić, że coś pozostaje za nią. Jej wzrok spoczął na zabudowaniach fabryki Sulikowskiego, to stamtąd ojciec przywiózł im samowar. Oddalające się miasto przeraziło ją. Deszcz tylko mżył.

– Gdzie ty jedziesz? – Spojrzała na Żyda.

– Nach Galicja – mruknął. – Kiwa wielgie interesa w Galicja robi.

– Ale jest wojna! – Rozcapierzyła palce, jakby chciała powstrzymać ruch do przodu. Jakby się chciała ochronić przed obcym powietrzem.

– Aj waj, cała szwiat jest wojna, wojna dopry dla interes.

– Ale ja właśnie uciekam przed tym wszystkim! – zawołała piskliwie.

Żyd spojrział na nią poważnie, spojrział tymi swoimi wyblakłymi, maleńkimi oczkami i uśmiechnął się smutno, trochę z politowaniem.

– Przed wojna nie ma ucieczka – powiedział.

Popędził konia. Dżdżysty dzień kończył się szybko. Lodowate powietrze pachniało mrozem. Wjechali do wsi Dębni. Filomena nagle zatęskniła za domem, za znajomymi drzwiami, które można otworzyć o każdej porze, za żółtym światłem w oknach. Wiele chałup było pustych, wionął od nich chłód jak z krypty.

– Nie paczy nazad, nie paczy. – Kiwa poprawił jej okrycie na kolanach. – One nie puszczo do miasto, my dwa jechać nach Galicja, rady Kiwa innej nie widzi.

W zapadającym mroku minęli nieużytki i opustoszałe działki. Nigdy wcześniej, jak w tamtym momencie, Filomena nie odczuwała tak boleśnie samotności. Słyszała tylko skrzypienie biedki. Nic więcej. Kiwa milczał, otoczenie milczało, jakby jechali przez cementarz. Kierowali się wprost w tę milczącą obcość, w świat nieznany i mroczny. Wiatr i krople deszczu nieprzyjemnie smagały policzki.

– Co takiego?! – krzyknął hrabia Aleksander Jedliczyński i zagapił się z niedowierzaniem na posłańca. – Co zrobiła?! – huknął ze złością, a chłopak aż przysiadł. – Przeszła samą siebie! – zawołał.

Zmiał papier z wiadomością i cisnął go na ziemię. Odstawił kieliszek tak energicznie, że połowa płynu wyskoczyła na śliczny stolik. Pośpiesznie wpuścił koszulę w dopasowane spodnie. Chłopiec przestąpił z nogi na nogę.

– Ty niemowa? – zapytał z widoczną niechęcią Jedliczyński.

Józuś gorliwie przytaknął.

– Znałem jednego niemowę – przyjrzał się mu uważnie – to nie ty?

Chłopak gorliwie zaprzeczył.

– Tamten choć niemowa, to gadać potrafił – zasępił się – ale takie dziwy to tylko w Bławatnym. – Machnął ręką, odganiając wspomnienia, ale po chwili znowu przyjrzał się posłańcowi. – Głowę bym dał, że to ty, tyle że starszy. – Oczy hrabiemu z brązowych zrobiły się czarne, a twarz przysłonił cień, choć cały pokój tonął w świetle.

– Co się dzieje? – pisnęła śliczna brunetka, wyłaniając się zza drzwi sypialni.

– Wracaj do łóżka – warknął Aleksander, dopinając koszulę.

– Ale kotku... – Wydęła usta.

Tanecznym krokiem podeszła do mężczyzny i chciała się przytulić. Ten zniecierpliwiony odtrącił ją. Nadąsana pobiegła do sypialni, usłyszeli jej płacz. Hrabia nie zwrócił na to uwagi. Pałac papierosa, przeliczył gotówkę, przejrzał kieszenie. Sprawdził naboje w rewolwerze. Doładował. Chłopcu na ten ruch zapaliły się oczy.

– Że też ją do Dziewiątka wiezie – powiedział do siebie hrabia – powiedział dlaczego?
– Spojrzał na chłopaka.

Ten zaprzeczył.

Dziewiątek był leśnym w lesie hrabiego, mieszkał w środku puszczy i nie można było mu ufać.

– Dobrze, trzymaj. – Wręczył Józusiowi banknot, ale chłopak gwałtownie pokręcił głową. – Co? Nie chcesz?

Znowu pokręcił.

– To czego chcesz? – Roztarł papierosa w popielniczce. Zapalił kolejnego.

Chłopiec pokazał na rewolwer.

– Zgłupiałeś?! – Hrabia wypuścił kłęb dymu z ust. – Tego ci nie dam. No co? Czego w końcu chcesz? A... mogę ci dać jeden nabój, ale po co ci on, skoro nie masz...

Nie doczekał się odpowiedzi, bo kiedy tylko złoty nabój spoczął na dłoni chłopaka, ten uklonił się i błyskawicznie zniknął za drzwiami. Hrabia wzruszył ramionami.

– Florian! – krzyknął, kierując się do hallu. – Każ zaprzęgać!

W taki dżdżysty i pochmurny czas dzień się szybko skończył. Było już prawie ciemno, gdy dotarli do karczmy Kwiatka. Tej samej, w której przed wyruszeniem w pole bawili się żołnierze. Tyle tylko, że tym razem nie było w niej wesoło. Wiatr hulał, kozy w chlewie się darły, a na podwórku pusto i smutno było jakoś.

Kiedy weszli do środka, powitał ich chłód i smród stęchlizny. Kwiatek ponury siedział za barem i skubał brodę. Tylko jedna lampa nad barem migiała mdłym płomieniem.

– Jak sze macie Kwiatku – zwołał od progu Kiwa – w ten siary dzień?!

– Niech jemu diabły wezmą – burknął. – Jak się mam mieć? Taki czas to ja się wcale ni mom.

– Co wam złego? – Kiwa usiadł przy barze, hrabiance wskazał miejsce przy stoliku pograżonym w cieniu.

Błada, z podkrążonymi oczami zdała się mu mizerniejsza niż za dnia. Usta ułożyła w podkówkę, dlatego wyglądała jak mała dziewczynka, która ma ochotę się rozpłakać. Z ociąganiem usiadła przy stoliku, ale dłoni na nim nie położyła. Zdało się Kiwie, że wzdrygnęła się z odrazą. Powiem wam, że nawet ścianom zrobiło się przykro na jej widok. I można by się pomylić, że zasługuje na współczucie, ale czy władzą człowieka jest odmawiać strudzonemu współczucia?

– A co mnie dobrego jest! – fuknął Kwiatek, ale z zainteresowaniem spojrzął na dziewczynę, potem na Kiwę, a potem znowu na dziewczynę. Od razu pokraśniał. Wyprostował się i zaniechał skubania swojego owłosienia.

– Piniądzów przecie masz. – Kiwa puścił do niego oko.

– Niech moje wrogi takich pieniędzy mają! Skąd teraz brać. Taki, co pije, nie ma cим płacić, a takie, co ma, nie pije. Nu, niech kto potrafi żyć przy takie procedurę.

– Wiesz, co ja tobie powiem? – Kiwa nachylił się przez bar. – Ty daj chleb i piwo te panieńka.

– A co mnie z tego będzie? – Przewrócił oczami.

– Szraty nie będziesz miał.

Kiedy Filomena skubała kromkę chleba i niechętnie popijała piwo, wyglądała jak niebo z nadciągającą burzową chmurą, ale że była głodna – nie marudziła. Kiwa ciągle siedział przy barze, dzięki czemu dowiedział się, że żołnierze wyszli trzy miesiące temu, że Kwiatek widział sobowtóra hrabiego, tyle że młodszego, że niewiele zarobił, bo na czym było zarobić, że pustka i wiatr hulają po izbie, że dzieci głodne, żona wściekła, a kozy chore. Kilka razy z rozpaczą wskazywał na czerwoną szafę, na której zapisywał kreskami chłopskie długi, ale chłopci poszli! A długi zostały. Niechby te długi poszły, a chłopci zostali, to Kwiatek byłby kontent, a tak?! Tak jest granda i nieszczęście!

– Ja mam bardzo delikatne serce, na kryde daje, cierpliwością czekam, ale teraz jest godzina czarna. Co mam robicz! Wierze w każdy słowo, bo wszystko może bycz, ale może też i nie bycz. Moje zione nerwa trzęsie, a z moje zione to nie jest łatwy rozum, może zione umie Żida do chlewa zamykać – Wytrzeszczył oczy, jakby ducha zobaczył.

Kiwa pokiwał, po głowie się podrapał, usta wydał. Potem cichutko, tak żeby nikt prócz Kwiatka usłyszeć jego słów nie mógł, o szwarcunki⁷ zapytał, o żołnierskie potrzeby i czy jego ludzi, znaczy Kiwy, Kwiatek widział? Ten kilka razy kiwnął, potem pokręcił głową, za chwilę za tę głowę się złapał i tak trwała ta pantomima z dobrą godzinę.

– Kwiatek, Kwiatek, gdzie twoja głowa jest, powiedz mnie, gdzie masz głowę? – odezwał się w końcu Kiwa. – Taki wojna to ziła złota!

– Taki ziła, co nie płynie.

– Po jakiemu ty rachujesz?

⁷ Przemyt

– Ja jestem rzetelny człowiek, ja mam takie nature, takie nature, co... Nie wierzysz mnie, jakie nature ja mam? – Znowu wytrzeszczył oczy.

– Twoje nature to leń – mruknął Kiwa. – Twoje nature to szpanie, to pozwalanie do przechodzenia dobre interes koło nos.

– O co ciebie chodzi? – oburzył się.

– Twoje nature to bycz powinno iść za wojsko i tam Kiwie pomagacz, wozić, handel robicz, a nie broda skubać do krwi i ziony sze bacz.

Otyły Kwiatek zaplótł ręce na piersi i jeszcze bardziej się nachmurzył. Gdzie jemu po świecie się tłuc. Co on, mało się natłukł? Teraz czas odpocząć. W swoich ścianach posiedzieć, a nie z chłopską hołotą się utulać czy na bombie spać, w niebo spoglądać i z wiatru wróżyć. O nie, nie. Tym razem Kiwa go do niczego nie namówi.

– Ty taki głupi jak ta deska dżewniana – Kiwa wstał – jak ten pień. Ja tobie dawać zarabiać, a ty sze po głowa drapacz? Ty jesteś łobuz i grandus. Łobuz, grandus i leń! – Ruszył ku drzwiom, ale przed naciśnięciem klamki się wstrzymał. Spostrzegł, że na zewnątrz była już noc. Gdy się wahał, drzwi otworzyły się same! Stał w nich Józus. – No, masz! – stęknął Kiwa i spojrzał na Kwiatka.

– Psigarnieś na nocne szpanie? – zapytał Kiwa.

Kwiatek przewrócił oczami.

– Kozi chory, dach za mały – odparł Kwiatek z satysfakcją.

– Józus wsziśkie zwierza lubia i one lubiąją jego, no idź – szturchnął chłopaka – popaci, coś poradzi. – Zrobił minę, która mówiła, żeby się postarał.

Kwiatek niechętnie, bo niechętnie, ale Józusia zabrał do obory, a tam akurat trwał poród. Już dwie mokre, zziębnięte kózki leżały na gnoju. Reszta była w drodze. Józus się rozpromienił, Kwiatek zmartwił. Jeszcze więcej gęb do wyżywania. Chłopak wytarł słomą maluchy, otulił je i czekał na kolejne. Kwiatek obserwował jego zachowanie i kręcił głową. Tyle ceregieli dla zwierząt? Ale go ujął młody swoją troską. Niech będzie. Pozwolił się im przespać w stajni, ale Kiwa zawetował, wskazując na hrabiankę. No tak. Panna z pierzyn na gnój się nie wdrapie. Po długim namyśle dał im do dyspozycji izbę od karczmy, bo i tak nikogo z gości w niej nie było. Nanieśli słomy zamiast łózek. Panience Kiwa dał jeszcze jedną skórę, bo patrzyła na słomę, jakby ta miała ją zjeść. Czyli na skórze się położyła i skórą przykryła. Józus został przy kozach, a Kwiatek wziął flaszkę krupnika i rzucił się na słomę koło Kiwy.

– Nie! Kiwa krupnika nie tyka, nie tyka i już, bo po krupnika gupieje, pamięci nie ma, sami, Kwiatku, wiecie! – zdenerwował się Kiwa Bobik.

– Co w krupnika złe jest? – Kwiatek nalał do szklanki i trącił go w ramię. – Krupnika dopry, radoszcz robi w sercu. – Mrugnął do niego.

– Radoszcz, radoszcz, ale pomysłunek odbiera!

– Ty pamiętasz, jak my grały na weselichu hrabiego? Tak my grały, że aż wióry leczali!

– O tak! – rozpromienił się Kiwa, ale zaraz zmarmotniał. – To przez krupnika mało w łepetyna ostało.

Filomena prawie już spała, ale błyskawicznie otworzyła oczy.

– U jakiego hrabiego? – Aż ją ukłuło w sercu.

– U rodzicza panieńki – zawołał Kiwa, siadając. Oczy mu rozbłysły. Ależ to był wspaniały czas, ależ im dobrze się wiodło.

– Kłamiesz! – Zmarszczyła brwi. – Czemu Żyd miałby grać na weselu u hrabiego?

– Nie Żid, a orkiesztra. Kiwa miał prawdziwa orkiesztra, bo Kiwa muzyka rozumie, a pan hrabia szam poszła po Kiwa. Kwiatek szwiadek! – Szturchnął Kwiatka, który kończył już drugą szklaneczkę. Ten uśmiechnął się szeroko.

– Weszele było piękne – czknął i podał pełną szklanę Kiwie – wsizkie chwalili, na cały szwiat chwalili, ale chwalili – cmoknął – tak chwalili, że aż pluli. Dopre Żidy mówili, szwarc Żidy, godne Żidy, bo umieją usianowacz zaćny dom i gracz umieją, i pięknie grają, mówili. – Rozmarzył się.

Kiwa szklanę wychylił. Wstrząsnęły nim dreszcze. Niedobre! A wtedy mu smakowało, ale wtedy to nawet bieda smakowała.

– Na cały szwiat poszła sława nasza, tak prędko poszła, że my sze nawet Moshe przeştali bac, co to mu zawód my szrobili – Kiwa wpadł Kwiatkowi w słowo i od razu obaj się wyprostowali.

– Przesztali my, ale tylko na cias krupnika, bo potem to my nie mieli chwili wytchnienia ode niego – szepnął Kwiatek.

– Co wy mówicie?! – zezłościła się Filomena. – Jakieś banialuki!

– Banialuk?! Jaka banialuk. Panieńka sapyta rodzicza, to sze dowie. Moshe był bogacz wielgi i mszczycz sze potrafił, oj, jak sze potrafił, aj waj, to głowa boli – zaangażował się Kwiatek – na szame wspomnianie oszalacz ze sztrachu mogłe.

– Nie o to mi chodzi!

– Panieńka bardzo kapryśna, co złe jeszt w orkiesztra żidowska, kiedy zabawa była, ach! Jaka była! – wtrącił się Kiwa. – Ślachta tańczyła, ale tańczyła! Okutymi butami przytupywała, że aż ze podłogie dzazgi leczali.

Kwiatek z uciechy klasnął w dłonie.

– Nadziali nam bżuchy, jak kaszę skwarkami. Tak pełne my nie byli w żiadne szwento i wódkie, i herbaty z arakmiem, piwo, szledzie, jajów kopa, obwazianków, ile kto by chciał – rozgadał się zachwycony wspomnieniem, łokciem szturchnął Kiwę, przepijając do niego. – Młodziesz byli dorodne, na gembach cierwone, w brzuchach tęgie. Panny jak szweżo upiecione bułki, o kstałtach ledwo mieściących sze w obcisłych stanikach. Aj waj, jakie piękni byli, ach, te kobietki, jaki oni wpliw mają na mnie. – Cmoknął, ale ze strachem zerknął na drzwi do alkowy i szybko przyłożył palec wskazujący do ust. – Ciii...

– Panieńka nicz nie wie? – odezwał się Kiwa.

– O czym? – Prawie wypłuła to pytane.

– O miłoszcza rodziczów.

– Tam nie było i nie ma żadnej miłości – mruknęła i położyła się z powrotem, nakrywając głowę skórą.

– Miłoszcza był i jeszt, tylko oći szlepe – odrzekł cicho Kiwa.

Faktycznie grali na weselu u hrabiego, bo zamówiona orkiestra przez roztopy nie dojechała. Do ich składu wchodzili jeszcze Judka i szcerbaty Abram. Kiwa robił muzykę z głowy, nie znał nut, ale kiedy zagrał na skrzypkach, to zagrał tak jak nikt inny. Repertuar mieli skąpy, ale wystarczający. Zaczynali od wspaniałego marszu żydowskiego, ale zaraz

potem potrafili z niego zrobić polkę, a nawet galopkę. Gdy grali, to wszyscy tańczyli do upadłego, zdzierali zelówki, pot im ciekł po skroniach, kobiety z uciechy tłukły dłońmi o swoje biodra, a z podłóg, jak wspomnieli, leciały drzazgi. Wprowadzali szaloną wesołość, nie radość, a siedem razy radość, nie wesołość, a dziewięć razy wesołość. Ot i to ich zgubiło! Choć może to był arak albo piwo, no bo przecież nie wódka... Zdania do dzisiaj mieli podzielone.

Zaczął się od Moshe, który wyprawiał weselisko synowi i paskudną porą, bo jesienną, posłał po orkiestrę Kiwy. Honor to był dla orkiestry ogromny, a dla miasteczka jeszcze większy. Wszyscy im wieszowali, po plecach klepali i dumni byli z ich sąsiedztwa, jakby byli jakimiś wieszczami. Moshe był pierwszym bogaczem w okolicy, a jego sioło oddalone było od miasteczka jakieś trzy mile. Przez posłańca zapewniał, że pieniędzy żałował nie będzie, mogą żądać nawet dziesięć rubli, a on im i tak bez targu urwie pięć, a drugie pięć wypłaci bez żalu. No to poszli. Szli pod wiatr, ziąb był okrutny, bo jesień bywa niemiła, a nawet wstrętna. Buty im przemokły, co rusz tonęli w koleinach, a potem droga przez las się rozpoczęła. Gdy już mocno tęsknili za ciepłem i choć kawałkiem skórki od chleba, aby kiszki uspokoić, zza zakrętu wypadł wóz z roześmianą młodzieżą i shaltowali ich. Mówili, że im pan młody kazał pytać o Kiwę Bobika, a potem jego orkiestrę przywieźć do niego i to migiem! Kiwa odmówić nie śmiał, więc porwać się pozwolił, choć go sumienie tykało. Okazało się, że młodym był sam hrabia Jedliczyński, którego zamówiona orkiestra ugrzęzła w drodze. Ech... wesele odbyło się jak należy, bo Kiwa miał też repertuar pański. Figurowało w nim coś na kształt kontredansa, walczyki, mazur czerwony i biały, no i polka, którą między sobą nazywali trzęsącą.

Tyle tylko, że tak ich goszczono, tak goszczono! że na wesele do Moshe zaspali. Hrabia co prawda ich ziemniakami, mąką i innymi prowiantami obdarował, cały wóz nimi wypchał i podwózkę do domu zorganizował, ale popadli w niełaskę u swoich. I tak źle, i tak niedobrze. Jednak najgorsza niełaska była u Moshe, trudno też mu było nie przyznać racji do gniewu, ale rozerwać się Kiwa nie mógł! Na szczęście syn Moshe, Symcha, trafił do więzienia i stary może by i ucałował Kiwę, gdyby nie lęk o własną wolność, bo musiał się ukryć przed sprawiedliwością, aby i jego nie dosięgnęła. Zaś muzycy ze strachu o własną skórę pierzchli w świat i na własny rachunek zajęli się interesami.

– A to wśiszko przez krupnika! – zawołał Kiwa, celując palcem wskazującym w spocone czoło Kwiatka. – To przeze niego my nie wstali do Moshe. – Postukał go.

– E! – Kwiatek językiem wypchnął policzek – smeńczone my byli i w tym ciału ambaras. Hrabia przywiózł, odwiózł, a Moshe kazał na własnych kulasach po błocie.

– Panieńka szpi? – zawołał Kiwa. – Szpi? – Uniósł się na ramionach i zadarł głowę, jakby chciał zajrzeć do wysokiego gara.

– Złe nigdy nie szpi – powiedział Kwiatek.

Ale Filomena spała. Trudno powiedzieć, czy był to sen sprawiedliwy i dobry, ten dla zasłużonych i zdrożonych ludzi, ale spała tak, jak spać potrafią młodzi, których nie trapią jeszcze życiowe zaszłości. Gdyby wiedziała, że jej ojciec stracił większość majątku, a właścicielem tegoż majątku stał się Kiwa, być może nie potrafiłaby tak spokojnie spać, być może nie zmrużyłaby oka – ale nie wiedziała. Zatem spała niczym niemowlę w objęciach matki.

Za to ani Kiwa, ani Kwiatek nie wiedzieli, o czym śniła. Nie mieli pojęcia, że podczas gdy oni chichotali i coraz bardziej śmierdzieli wódką, ona kolejny raz śniła pogrzeb siostry.

„Została wam tylko ona” – usłyszała w głowie niechętnie słowa wypowiedane tamtego popołudnia wielokrotnie przez jej nieznanne ciotki i pociotki, wujków i starych kuzynów.

Wszyscy wbici w czarne stroje, z białymi twarzami – wyglądali jak mumie ucharakteryzowane na wampiry. Niby się poruszali, ale sztywno i bez werwy. Kiedy ściskali jej dłoń, swoje mieli lodowate, jakby co tylko wyszli z krypty. Dlaczego Hanka zmarła? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że zachorowała nagle, nazwano tę chorobę błękitną⁸ i cały dwór poszedł na kwarantannę. Nikt inny nie zachorował, epidemia się nie rozwinęła.

Kolejny raz w śnie była w pokoju, który dzieliła z siostrą. Z rozpaczą patrzyła na puste, zasłane łóżko. Na kastlik, na którym nie było już jej listów i porozrzucanych szpargałów, tylko kurz. Kolejny raz fanatycznie walczyła z tym kurzem, ścierała go przed pokojówką, aby tylko mieć wrażenie, że kastlik jest nadal używany. W końcu zrozumiała, że nie wygra z zapominaniem. Nie wygra też z bólem ani tęsknotą. Choć nie potrafiła o nich mówić, to zasypiała z nimi i z nimi się budziła.

Jakże trudno pogodzić się ze stratą.

Najpierw żałowała, że to nie ją zabrała śmierć. Hankę tak wielu kochało, tyle osób uszczęśliwiała. Jednak później pomyślała, że skoro nie ją zabrała, to ona, Fifi, będzie żyła za nie dwie, że ona sobie życia wydrzeć nie pozwoli, że będzie żyć najbardziej jak się da. Najagresywniej jak się da! I nie przelęknie się zarazy, wojny czy morowego powietrza.

To przez chorobę Hanki Karolcia uwierzyła w przepowiednię Cyganki. Od jej śmierci w ich domu zapanował strach. Bano się chorób zakaźnych bardziej niż wcześniej. Uważano, że to cud, że nikt więcej wtedy nie zmarł, ale równocześnie myślano o tym, że wszystko jeszcze przed nimi. Czuli się w pewien sposób naznaczeni, jakby już należeli do zarazy, tylko ich wyrok został odwleczony w czasie.

Kiedy we śnie Hanka spojrzała jej w oczy i powiedziała „Pomóż mi” – Filomena się obudziła. Serce jej waliło. Rozejrzała się nieprzytomnie po pomieszczeniu. Żydzi głośno chrapali. Niedopity krupnik stał obok Kwiatka. Było ciemno, choć za oknem migał skrawek księżyca. Usłyszała wycie wiatru.

Zaraza jak przekleństwo – pomyślała. Nigdy od jej cienia nie ucieknie. Nigdy. Od wojny ucieknie, ale od zarazy nigdy. Wstrzymała oddech, bo usłyszała chrobotanie.

Do ich izby weszła Żydówka z lampą naftową w ręce. Poświeciła nad mężczyznami, pokręciła głową i wymamrotała kilka złorzeczeń. Była rozczochrana, miała błyszczącą się, jakby od tłuszczu, twarz.

– Hę! – warknęła do Filomeny.

Ta udała, że nie słyszy.

– Nie udaje, pańcia wstanie. – Zawisła nad nią z lampą.

– Czego chcesz?

– Pańcia posłucha, co Żidówka powie.

– Mam wrażenie, że się nasłuchałam dzisiaj za wszystkie czasy. – Filomena podniosła się całkiem rozbudzona.

⁸ Cholera.

– Jeście i to w głowa pomieści. – Gospodyni weszła za bar i dała znać hrabiance, aby przy nim usiadła

Kiedy Filomena okutana w skórę usiadła na zydelku, ta nachyliła się w jej stronę konspiracyjnie.

– Pańcia nie jedzie, bo tam sarasa – wyszeptała poważnie.

– Gdzie?

– Tam! – Zrobiła ruch głową w stronę okna. – Sarasa morowa, tylko cieka.

– Wojna jest, to nie wystarczy?

– Co by nie, starcić mozie, ale sarasa przywlecie jeście bardziej.

– Po co mnie obudziłaś? – Filomena poczuła się zdezorientowana.

Żydówka spojrzała jej prosto w oczy swoimi pięknymi, czarnymi. Postawiła lampę na blacie. Westchnęła głośno i znacząco. Po czym opowiedziała Filomenie, że znała jej matkę za młodu, że jej ojciec był krawcem, a ona z nim do państwa chodziła.

– Ale po co mnie obudziłaś?

Okazało się, że na żeńskiej linii rodu Filomeny ciąży klątwa, którą rzuciła na jednego z przodków pewna Cyganka niesłusznie ukarana. Klątwa brzmiała tak, że każda z kobiet umrze z powodu zarazy.

– Ja nie umrę! – powiedziała pewnie Filomena.

– Nie umzie, jeśli nie pojedzie do sarasa.

– Nie mam dokąd pójść, muszę jechać tam, gdzie Kiwa.

– Sarasa tylko cieka, a kiedy już się rozszałeje, to oszalać będzie można. Pańcia nie jedzie.

Filomena już nie miała siły na kolejne zagadki. Na kolejne strachy. Człowiek boi się do pewnego momentu, a potem zaczyna lekceważyć, choć sen o Hance trochę ją zaniepokoił. Nie wierzyła w przeczucia ani przepowiednie, ale wierzyła Hance. Skoro jej się przyśniła, to na pewno chciała ją przestrzec.

Żydówka spojrzała na nią tak, jakby usłyszała jej myśli. Coś ważyła w głowie. Zastanawiała się, ale jej rozmyślenia przerwał Józus, który wpadł do izby jak huragan. Kwękał, gestykulował, charczał. Kwiatek się poderwał, Kiwa tylko coś wymamrotał przez sen i przewrócił się na drugi bok.

– Kozi nieziwi?! – krzyknął Kwiatek, podrywając się ze słomy. – Jak to nieziwi?

Obydwoje z żoną popędzili do obory. Józus za nimi. Fifi została.

Faktycznie, wszystkie młode kozy były nieżywe. Żona Kwiatka załkała, ale zaraz potem przestraszyła się.

– Sarasa u wrót – szepnęła.

Wielu odczytywało czerwony księżyc jako złą wróżbę, gromady wron – również za złą, ale nikt tak na serio nie martwił się, że czeka ludzi tragedia. Nie martwili się również Fifi ani Kiwa. Wszak tragedia już się działa, co zatem gorszego miałyby się stać? To, że padały zwierzęta, miało różne wytłumaczenie, choć chłopci zwykle w takich sytuacjach już się bali. Bo najpierw zwierzęta, a potem ludzie. Najtrudniej jest walczyć ze śmiercią – nigdy się nie wygra.

Cóż mogę wam powiedzieć. Rok tysiąc dziewięćset czternasty był rokiem ciężkim, ale dopiero to, co nastąpiło po nim, było wstrząsające.

Kwatery austriackie, październik

Ten dzień nadszedł tak, jak każdy inny. Najpierw się rozwidniło, ale ponure niebo nie zmieniło swojego wyglądu. Przeistoczyło się tylko z biegiem upływających godzin w biały, niemiły horyzont torujący drogę dla zimnego dnia. Nadszedł bez zapowiedzi, bez ostrzeżenia, że przynosi ostatnią godzinę. Nie dla każdego tę samą. Wszakże nosił w sobie aż dwanaście godzin. A każda godzina nabita była minutami niczym kiwano kolcami, a minuta sekundami, a każda sekunda, jak matka chrestna, była wypełniona dobrymi intencjami. Chryste Elejson! I łany ludzi, podobnie do zbóż podczas żniw, spadały na ziemię całymi kępami. Można je było nosić oburącz, jak snopy pszenicy. Amen.

– Zbiórka! – usłyszeli wrzask sierżanta, nim zagrała trąbka.

– Zbiórka, do ciężkiej cholery! – darł się, a żyłka na jego czole pęczniała i pęczniała. Każdy miał nadzieję, że w końcu pęknie.

Gustaw był bez sił. Powlekł się za kolegami i z ogromnym wysiłkiem stanął na baczność. O śniadaniu ani słowa, nawet o tytoniu nikt nie wspomniał. Powinien był czym prędzej wrócić do medyków. Powinien był, ale uznał, że na następnym postoju to zrobi.

– Czwórkami w prawo zwrot! – zakomenderował dowódca kompanii – za mną marsz!

I po biwaku. Zeszli przez rów w pola. Pod butami kolejny raz poczuli olbrzymie buraczone głowy. Co chwilę się potykali. Parszywy marsz trwał bez końca, bo pola zdawały się tego końca nie mieć. Białe światło dnia smutno wyzierało spoza niskich chmur. Tyle, że nie łało. Na razie. Podeszwy oblepiły się kilogramami mokrej gliny i nabrały podwójnego ciężaru. Grzęzli w tym bajorze po same kolana. Z każdym pokonanym metrem ich nogi zamieniały się w ołowiane kłody.

Na tym „psim polu” wypatrzyli ich wrogowie. Psiekrwie! Psubraty parszywe! Zaatakowali ich na otwartym polu, zaczęli do nich walić z karabinów w momencie, kiedy sami siedzieli w lesie. Jakby przekleństwo spadło z nieba. Ani kawałeczka ściany, za którą można by się schronić, tylko przepastne przestrzenie gruntów. Tylko głowy buraków objające im bez litości żebra, gdy padli na ziemię.

Na szczęście tym razem artyleria austriacka doszła do głosu i pucowała w las z ogromną zawziętością, jak nigdy. Była to przyjemna odmiana, bo do tej pory piechocie się zdawało, że pozostawała sama sobie. Pociski szły górą, toteż Moskale wyżej celowali. Pozwalało to pierwszej linii spróbować wyrwać się z impasu. Najpierw na brzuchach, czołgając się w chórze przekleństw, a potem na czworakach pokonywali gliniastą przestrzeń. Każdy myślał, że tym razem to już koniec, że zginie na tym parszywym polu i nikt nie znajdzie jego grobu. W końcu Gustaw za Mietkiem, a reszta za nimi poderwali się i ruszyli pędem na łeb na szyję.

Cwałowali gromadą z pochylonymi głowami jak znarowione konie, które złapały wiatr w chrapy. Pędzili przed siebie, ile sił w nogach, byle dalej i dalej, bo to nie człowiek ich przerażał, a śmierć poganiała nahajką.

Skierowali się w stronę drogi. Po cholere?! Nie wiedzieli. Gdy jej dopadli serca w nich zamarły. Za drogą na lewo rozciągała się łąka na trzy hektary nabita żołnierzami, ich kamratami, jak makowiec makiem. Czarno. Tyle że łąka bulgotała i żyła. Ten, kto stał w niej po kolana, za moment tonął bezradnie szarpiąc ciałem i trzepocząc ramionami.

– Sakra, Jezis – jęknął Filipek spocony jak bura suka.

Kapral Mietek czerwony na twarzy oddychał ciężko. Rozglądał się w panice, szukając ratunku, bo nie zamierzał żreć tej ziemi. Ogień przeniósł się na drogę. Ludzie w rozpacz i z dziką nadzieją, że im się uda, uciekali z drogi na łąkę, gdzie tonęli błyskawicznie, pozostawiając po sobie, ale tylko na sekundę, sterczące ramiona przypominające połamane style od grabi. Ich palce trzepotały zawzięcie, by po chwili przepaść w zdradliwym miejscu. Polana zamieniła się w bulgoczący kocioł, z którego dochodziły nieludzkie wrzaski, kwiki i ryk koni. Droga stała się wąwozem spod Somosierry. Piechota, ułani, artyleria ciężka i polowa, sanitariat – to wszystko tłoczyło się na niej, trując słabszych. Pomieszały się pułki, pomieszała broń. Nieistotne były stopnie i godności. Wszyscy nagle stali się równi, bo jednakowo chcieli żyć. Mimo to nie było wyjścia. Wszystkie punkty były w ogniu. Szrapnele rosyjskie pękały coraz niżej. Ludzie i konie, tracąc zmysły, wrywali na przepaść do przodu, nie bacząc na rannych i zabitych, którzy zaścielali drogę. Kopyta końskie deptały głowy, brzuchy, wnętrzności i jelita. Mieszały mózgi z błotem i krwią. Ryk rannych ludzi i zwierząt pośród świszczących kul, pękających szrapneli i huku granatów doprowadzał niejednego do obłędu. Na oczach Gustawa oficer dobył pistoletu i strzelił sobie w łeb. Ktoś inny rozebrał się do naga i ze straszonym śmiechem popędził prosto w bagno.

– Pojd sem kamrat! – Filipek pociągnął za sobą Gustawa, bo reszta znowu ruszyła do galopu.

Pędzili krwawą drogą.

Przeskakiwali końskie i ludzkie trupy, ślizgali się w czerwonej posoce i na wyprutych flakach. Pędzili na oślep. Z lewej przekłeta polana, z prawej przekłete buraczysko. Rosjan ciągle bardziej interesowało buraczysko i trochę droga, łąką nie zawracali sobie głowy. W pewnym momencie – tuż przed blokującymi ich bieg perszeronami⁹, które ciągnąc działo, utknęły w wyrwie – Mietek nagle skręcił w lewo i wskoczył do strumienia okalającego feralną łąkę. Strumień miał podłoże kamieniste, co nie ułatwiało im biegu. Pędzili, rozbryzgując wodę i ślizgając się na głazach. W końcu wbiegli pomiędzy domy, ale tylko przez chwilę poczuli się bezpiecznie, bo i tutaj latały kule. Rozrywały mech upchany między belkami chałup. Darły wokół nich ziemię.

Uciekali już tak długo, że byli śmiertelnie zmęczeni i prawdopodobnie dlatego z ochotą przystali na rozkaz Mietka.

– Nie zdychajmy jak psy! – krzyknął nagle. – Walczmy!

Żadnemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wszyscy równocześnie zarepetowali karabiny. Wbiegli do pierwszego z brzegu domu i ulokowali się przy oknach. Przyczajeni oddychali ciężko. Pot zalewał im oczy. Ostrzał ucichł. Czekali w napięciu. W ich oczach pojawiła się nadzieja. Może jeszcze nie wszystko stracone?

– Śwarna dziołcha mie się śniła – wydyszał Trzmiel.

Wszyscy uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

– Trefiło się mie. To jo doł pozwoleństwo co by się w mojej chałupie bawiła – dodał.

Koledzy wytrzeszczyli na niego oczy. Zwariował – pomyśleli zgodnie. Wąs wytrzeszcz miał największy.

⁹ Konie ciągnące działa. Ogromne konie pociągowe.

– Dziewecka maleńka, a jak prosiła – Trzmiel mówił dalej. Siedział na klepisku z podciągniętymi do piersi nogami. Po jego prawej stronie wionęła pustka okna. Przytulił czoło do karabinu. – „Kiej ja se był parobeckiem, chodźilek se pod pióreckiem, / A teraz mie bida goli” – zanucił smutno.

– Nie pieprz głupot! – zirytował się Gustaw. – Lepiej, jakby ci się przyśniła ucieczka z tego stanu błogosławionego, a nie panienka. – Splunął. Zły był. Zły i już. Nawet zapalić nie było czego. Cały utapłany w krwi i błocie brzydził się samego siebie.

– Gdyby chociaż to Niebieska Panienska, można by się cudu spodziewać – zarechotał Mietek, strzelając z palców.

– Kiej wiesz, co tobie się psyśni? – mruknął niezadowolony Trzmiel.

– A ja snił jsem – rozochocił się Filipek – o ślepicy!¹⁰

– O żywej czy martwej? – zapytał Gustaw. No nie mógł mu darować. Żywej by żaden nie przepuścił, a co dopiero, żeby nieżywej pozwolić uciec. – Może katany poszła szukać, kiedy już w kotle się gotowała?

Reszta, nie znając sprawy, śmiała się serdecznie. Filipek wzruszył ramionami. Żal mu było, nie ma co mówić, ale w tamtym momencie jego głowa droższa mu się zdawała niż żołądek.

– Słyszycie? – Trzmiel podniósł się do kucek. – Cicho cosik.

Gustaw wyjrzał ostrożnie przez okno. Siedział z Trzmiel przy jednym, tylko każdy z innej strony. Wąs i Filipek zrobili to samo przy swoim. Mietek nie wykonał żadnego ruchu. Zerkał co chwilę w szparę w drzwiach, przy których siedział, ale od swojej strony nie spodziewał się ataku. Mimo to czuł w kościach, że to nie koniec. Dobrze, że chociaż trochę odpoczęli. Parszywy dzień.

– Nic nie widzę – powiedział Gustaw.

Trzmiel pokręcił głową z lekceważeniem i odważnie się wychylił, tak aby obejrzeć teren. Szczeknęło! Tylko raz. Trzmiel runął do tyłu.

– Idą na nas! – krzyknął Wąs.

Złapali Trzmiela za ręce i nogi. Pognali do innego budynku, potem do kolejnego. Jednak w czwartym Trzmiel już nie żył. Żegnaj, Trzmielu.

Wyglądało na to, że Moskale zrobili już porządek z buraczyskiem i szli dobijać uciekinierów. Trochę w podskokach, trochę na czworakach, trochę się czołgając, dotarli do piątego budynku. Mietek rozstawił każdego jak trzeba i tym razem to oni, przynajmniej na chwilę, zgotowali piekło Kozakom. Tym razem to oni mieli ich jak na dłoni, a tamci nie wiedzieli, gdzie celować. Rozliczyli się z nimi błyskawicznie, ale dobrze wiedzieli, że po nich przyjdą następni, lecz liczniejsi. Pognali w sosnowy las, którym kończyła się osada. Las, który – mieli nadzieję – był wolny od wroga. W oddali za ich plecami czekały jeszcze karabiny, ale już nieliczne.

Do wieczora było jeszcze sporo czasu. Słońce ani na chwilę nie wyjrzało zza chmur. Powietrze pachniało nadchodzącym deszczem. Drzewa stały nieruchomo. Zdawać się mogło,

¹⁰ O kurze.

że niebo ciężkie chmury wsparło na ich czubkach, dzięki temu połączyło się z ziemią. Tylko po co komu takie połączenie?

W głębi lasu spotkali wielu swoich, niedobitków. Im dłużej szli, tym ich więcej do nich dołączało. Nie rozmawiali. Nie mieli już w sobie słów. Nie rozmawiali też o Trzmielu. „Na wojnę idzie się ginąć, a nie zwyciężać”. Wtedy nie mieli już w sobie słów, którymi mogliby opowiadać, ale tamte słowa z pierwszej zbiórki nieśli ze sobą każdego dnia, a one stawały się coraz cięższe. Dźwigali je codziennie, coraz mocniej ich nienawidząc.

W końcu dołączył do nich pułkownik, którego nazwiska nie znali. Kazał się wszystkim ustawić według dawnej przynależności. Potem ich policzył. Z trzech tysięcy ludzi wychodzących dzisiejszego dnia z obozu w lesie zostało stu. Stu! Bo idzie się umierać, a nie...

Zatem szli dalej. Po zbiórce ruszyli przed siebie. Nikt nie trzymał szyku. Przedzierali się przez zarośla, każdy na własną rękę. Otaczała ich wilgoć i półmrok. Jedni nieśli plecaki i cały rynsztunek, inni szli goli – to ci, którzy w panice pozbyli się wszystkiego, nawet karabinów. Nie wiedzieli, jakim cudem ciągle żyli. Jednak świadomość, że i na nich w końcu przyjdzie pora, pogłębiała poczucie beznadziei. Dopiero zaczynali życie i od razu musieli umierać, i od razu z zadowoleniem. Musieli umierać w sprawie racji (lub jej braku) zramolałego starca, który w momencie, gdy oni zasypiali w błocie z pustymi żołądkami, w sposób dystyngowany pochłaniał sznycla wiedeńskiego. Gdy oni marzyli o kromce chleba, on elegancko odkrajał mały kęs z plastra cielęciny panierowanej w bułce tartej i usmażonej na maśle. Do tego zagryzał sałatką ziemniaczaną skropioną plasterkiem cytryny, podaną z sosem musztardowym. No i wino. Ulubione czerwone Château Blason D’Issan, jako że francuskie, to wojennym wyrzeczeniem jego cesarskiej mości stało się zaprzestanie jego picia. Gdy żołnierze pili wodę z kałuż, w których leżały trupy ich kolegów, cesarz postanowił przejść na jedno z regionalnych win, mniej dystyngowane, wytwarzane przez klasztory.

– O kruca! – syknął Mietek.

Pochwycił Gustawa za rękaw. Głową wskazał na drzewa przed nimi. Ten spojrzał pytająco.

– Coś za głośno te strzały, zbliżamy się do nich, zamiast się oddalać.

Stanęli i nasłuchiwali. Faktycznie były coraz wyraźniejsze.

– Dołączyć! Nie zostawać z tyłu – krzyknął ktoś na nich – bo wam dupy podziurawia jak sita!

Kilka osób roześmiało się, ale słabo, niewesoło. Dołączyli niechętnie. Muszą umrzeć. Po co więc ta dzika obrona przed śmiercią. Są tylko mięsem. Wiedzą to, ale coś w ich piersiach trzepocze. Trzepocze tak mocno, że dodaje siły, aby biec mimo kul, mimo gradu pocisków, mimo rozrywanych szczątków kolegów. Pędzić dalej, jak najdalej od tego piekła, które w perfumowanych dłoniach jest tylko punktem na mapie.

– Kurwa! – powiedział Gustaw. Ponuro spojrzał na Mietka.

Ten pokręcił głową. Dobrze wiedział, o czym pomyślał, ale nie! Nie pozwoli mu na to. I Gustaw wiedział, że mu nie pozwoli. Bo zginąć muszą. Zginąć w imię potrzeb? Czyich potrzeb? W imię czegoś wyższego, co przechodzi ich rozumienie? W imię jakiegoś Ach! Jak bydlęta opite wodą z bajora muszą zginąć, ale za to ci z wyżyn honor im przypną do życiorysu. Będą łaskawi, bo stać ich na taką łaskę. Gdyby to była armia polska – myślał

Gustaw – gdybyż to była nasza wojna, a nie wojna puderniczek i sztywnych mankietów, inaczej by się czuło. Inaczej patrzyło na swój los. Ale tutaj, teraz? Wściekłość w nim nabrzmiwała jak dojrzewający czyrak. Dobrze wiedział, że z krwi i wysiłków milionów żołnierzy korzystać będą paskarze, handlarze bronią, politycy. Polegli pójdą w zapomnienie, podobnie jak inwalidzi i poległych rodziny, bo nazywają się „Milion”. Miliony Bezimiennych.

– Coś ty, Młody, taki kwaśny? – Kapral szturchnął go łokciem. – Pod pierzyną skapieć byłoby ci łzej? Źle ci będzie, jak cały oddział zaprezentuje broń i huknie ci salwą nad trumną?

– Niedoczekanie – burknął Gustaw rozeźlony na całego. – Huknął tu kto komu? Tylko ruskie huczają i to nie z szacunku.

– Tyś żołnierz i jak żołnierz żyć winienes.

– Ja żołnierz roczny i mnie właśnie służba wygasła!

– Cicho, głupi – syknął, rozglądając się ukradkiem – lepiej z honorem niż bez.

Gustaw prychnął tylko i wyprzedził go o kilka kroków. Nie mógł już tego słuchać. Z honorem, czyli jak? Jeśli orałby pole i uczciwie żył, to honoru by nie miał? Honor to taka waluta przetargowa, a tutaj korzysta się z niej aż nadto. Nie jest dyshonorem morzenie żołnierzy głodem, nie jest picie przez nich wody z bagna, ale byłoby, gdyby nie stracili życia na polu bitwy. Pieprzyć to!

Już byli przy granicy lasu, już prawie wychodzili z drzew, gdy w parów tuż przed nimi wyrznięła granat. Zaraz po nim z potężnym łoskotem trzasnął drugi i kolejny. Ziemia wystrzeliła niczym lawa z wulkanu.

– W tyralierę! Dziesięć kroków odstęp! – wrzasnął pułkownik.

Błyskawicznie wykonali rozkaz. Po sekundzie wszyscy leżeli na ziemi. Granaty i szrapnele, jeden po drugim padały między nich. Słyszeli tylko potężny huk, trzaski i jęki. Ze wszystkich stron z bólu zwijali się ranni prawie niewidoczni w obłokach dymu i kurzawy. Deszcz ognia i metalu zalewał – nie pierwszy już raz tego dnia – krawędź lasu i sięgał hen w jego głąb. Ogień wzmagał się coraz bardziej, niepodobna było podnieść głowy. Nie było mowy o ucieczce. Wszystkie możliwe drogi pod ostrzałem. W Gustawie drżało każde włókienko, czekał na moment, gdy wszystko ucichnie albo granat runie mu w plecy i je rozedrze, albo roztrzaska głowę. Jak zza rzeki słyszał jęki, płacz i skowyt, ale nie wiedział, kto płacze, a kto krzyczy. Na moment podniósł głowę i serce w nim zamarło, a dusza i krew zastygły. Ogromne niebieskie oczy patrzyły na niego łagodnie i trochę smutno. Szrapnele ciągle latały i świszczały kule, mimo to podczołgał się w kierunku Wąsa. Kiedy do niego dotarł...

– Przeżyję? – wycharczał Chudy.

Gustaw zdarł z siebie kurtkę i próbował nią zatamować krwotok, jednak utrudniały to wylewające się z brzucha wnętrzności. Chudy bezradnie starał się je upchnąć z powrotem, ale to był tylko odruch. Po chwili już nie żył. Mimo tego Gustaw w bolesnym amoku cały czas walczył z potokiem krwi opuszczającej ciało chłopca. Nagle! Gwizd, błyskawica i grzmot pioruna przeniosły Gustawa w ciszę.

Zamarł huk artylerii. Uszedł z ciała strach. Zmierzchało się. Ot i całe życie.

Patrzył bezwolny i słaby, cienie latały nad nim, czubki drzew kołowały, patrzył na to obojętnie. Nie obchodził go już barbarzyński pochód ani to, czy musiał w nim iść. Już nie

myślał o zbirach z perfumowanymi mankietami, którzy wepchnęli go do tego pochodu. Rowem płynęła krew. Odcięte głowy i porzucane oczy patrzyły z podobną obojętnością.

– Jezis, Maria! – Filipek ze łzami w oczach ściągnął go z Wąsa. – Ale dali ti prachu!¹¹ – Czołgając się, taszczył go za sobą.

Gustaw czuł to, ale nie mógł ruszyć ręką ani wypowiedzieć choć słowa. Zdawało się mu, że nawet oczami mrugać nie potrafił. Nie wiedział, czy kanonada umilkła, czy tylko on jej nie słyszy

– Sakra! – Filipek szarpnął go za rękaw. – Gustaw? – Przestraszony chłasnął go po twarzy raz i drugi, a potem znowu. – Priteli!¹² Gustaw!

– Przestań! No przestań! Stop! – zirytował się w końcu Gustaw. Mimo że kręciło się mu w głowie, to usiadł. Z wysiłkiem oparł się o pień sosny. Świat dookoła niego pływał. Filipek patrzył na niego z napięciem. – Bo ci gałki pękną.

– Oczni bulvy? – Uszczęśliwiony odetchnął z ulgą i usiadł obok.

– Bulvy, bulvy!

– Sakra, ale sakra! – chciał coś Gustawowi powiedzieć, ale nie wiedział jak.

– Filipek! – Gustaw przytrzymał go za rękę – kanonada trwa?

– Tisze, tisze. – Oczy miał wytrzeszczone. – Mietek! – Szeptem zawołał do kaprała, ale ten zlekceważył. – Stop!

Filipek był jak nigdy przejęty, tak bardzo przejęty, że nawet zamroczony. Gustaw zauważył jego pomieszenie, przyglądał się, jak Czech zbliżył się do kaprała na czworakach. Kanonada niby ucichła, ale nie było co wierzyć uszom. Gustaw dopiero po chwili zrozumiał, że porucznik wydał rozkaz Mietkowi. Filipek dotarł do kaprała pierwszy.

– Neposlouchej – powiedział mu na ucho. – Neposlouchej, pro rany bozi¹³

– Jak nie? To kulka w łeb – obruszył się Kapral Mietek. Wstał. Otrzepał mundur z ziemi. Puścił oko do Gustawa. Stanął na skraju lasu twarzą do drzew. – Zbiórka! – krzyknął.

Padł strzał. Nawet jeśli cholery jedne przerzucili ogień na inną stronę, to oczywiście było, że zostawili jednego przy maszynce. Kapral przewrócił się na wznak. Kopnął ziemię kilka razy i znieruchomiał.

Gustaw z Filipkiem na brzuchach ruszyli w jego stronę i gdy się zrównali, Filipek spojrzał na prawą dłoń Gustawa i zamarł. Chłopak poszedł za jego wzrokiem.

– Nemasz palec – szepnął, ale w oczach miał szaleństwo.

– Cholera – zaklął Gustaw. Przyglądał się ze zdumieniem poszarpanej skórze w miejscu własnego kciuka. Jeszcze nic nie czuł, choć krew płynęła obficie. Jeszcze rozumiał, co się działo dookoła.

Jednak Filipek przestał rozumieć. Najpierw się uśmiechał, a potem coraz bardziej i bardziej chichotał, i to tak chichotał, jakby go ktoś łaskotał. Chichotał niby wbrew sobie.

Potem, gdy się uspokoił, powiedział, że przy takim ostrzale, przy takim wybuchu, który huknął nad Gustawem, on myślał, że z Gustawa same strzepy zostały, okazało się, że tylko palec stracił. To był żart boski. Żart losu. Żart śmierci. Dlatego śmiał się dziwnie, bez

¹¹ Pytu.

¹² Przyjaciel.

¹³ Na Boga.

wesołości. Krztusił się, dusił, aż w końcu po policzkach popłynęły mu łzy. Jednak to nie były łzy radości.

U końca tego dnia, gdy rana zaczęła dokuczać Gustawowi, a artyleria rosyjska na szczęście strzelała tylko co jakiś czas, a Gustaw nie miał ani łyżeczki wódki, nie wspominając o opatrunkach. U końca tego dnia powiedział sobie dość! Gdy od czterech dni nic nie jedli i nie pili, do tego wiedział, że za chwilę dostanie gorączki, właśnie u końca takiego dnia postanowił. Powiedział to tylko w swojej głowie, ale Filipek usłyszał. Gdy czołgali się w przeciwnym kierunku do strzałów, chroniąc się ciemnością nocy, ostrożnie tak aby Austriacy ich nie zatrzymali, Gustaw powtórzył to słowo raz jeszcze w głowie i poczuł się z nim dobrze. Potem, gdy ciągle było słychać karabiny, znowu je sobie przypomniał i znowu poczuł się z nim dobrze. Nie wymówił go na głos, ale widział, że i Filipek z tym słowem czuł się dobrze.

Było ciemno. Kiedy wypełzli z lasu, trafili na łąkę, nie bagno. Księżyc błyskał cieniutkim światłem, gwiazdy, jak to one, na całym niebie. W oddali majaczyły zabudowania. Łąka była wysoka niekoszona. Suche badyle sterczały ponad nimi. Normalnie rzuciliby się przez nią od razu, tyle tylko, że zabudowania płonęły. Dlatego przyczaili się na skraju i obserwowali. Wtedy też Gustaw przypomniał sobie o Bławatnym. Chociaż wcześniej Mietek podejrzewał go o znajomość drogi do tej wsi, to Gustaw nikomu jej nie zdradził. Na pytające spojrzenie Filipka odpowiedział szeptem:

– Do zbójeckiej wioski.

Filipek nie zrozumiał. Zamrugał oczami

– Do Bławatnego – poprawił się Gustaw.

To też nic Filipkowi nie powiedziało, ale machnął ręką i utonął w trawie.

Karczma Kwiatka, Noc z 15 na 16 października

– Wy ciarna ludzia, sarazie wy przynieśli pod moja dach!

– Nu...Kwiateczku drogi – zawołał Kiwa, łapiąc go za rękaw, ale się wyrwał.

– Preć! – wrzasnęła, a jego żona złożyła usta w dziubek i zaplotła ramiona na piersiach, przy czym znacząco i głośno wciągnęła powietrze. – Preć! – Palcem wskazującym wycelował w drzwi.

– Kwiatek, oj, Kwiatek. nie ksiczi, nie ksiczi. To głupstwo, na co się trapić. Ja mam więcej kłopoty, a nie trapię się.

– A masz! – Zapluł sobie usta i chwycił się za głowę. – W taka ciarna noc jechać, to prawdziwa kłopot, ale ja tobie mówię, preć! Won z moja izba!

– Ja tobie dawać zarabiać piniądzów, a ty mnie na dwór? – Kiwa z głośnym westchnieniem wyciągnął zza pazuchy brudny kawałek papieru. Ciężko mu z tym było, ale jechać w tę wichurę i deszcz byłoby jeszcze ciężiej. Wyobraził sobie czarny las, wyjący wiatr i lodowaty deszcz, który w tej chwili bombardował szyby, i aż się wzdrygnął.

– Jakie piniądzów? Kiedy ja sztratny, a nie bogaty! Kiedy moja żeczka ¹⁴głodne są, bo kozi martwi, a za oknem wicher! Ja oszalać mogę od ten moment, palpitanje będę dostawał, jeśli ty w ta chwila za próg nie wyjdiesz!

¹⁴ Dziecko.

– Nie bycz głupi, Kwiatku! W bagno utonęli bečki z wódka, Kiwa sze dzielił będzie z tobą, jeszli do rana nas przecimasz. – Pomięty papier trzymał złożony i tak nim wymachiwał, że nie sposób było zobaczyć, co na nim się znajduje.

– On mnie mówi bečki w bagno – zapał niczym kogut na trzecią rano i uderzył z irytacją dłońmi o uda – on mnie mówi, że to geszeft. Psiekrent parszywy, bankrut skiaradny, co mnie z bečki w bagno?! Pomiesianie głowa dostałeś, jak kurza móźdzka!

– Mam mapę, wiem w które bagno utonęli i miejsce znam. – Zamachał papierem.

– Kiedy utonęli? – Kwiatek dyszał ciężko.

– Niedawno.

I tu furia na nowo wstąpiła w Kwiatka.

– To przechodzi wszelką wyobraźność. Co mnie z niedawno?! Było mnie gadać, że ćtery lat temu, chociaż trzsi, a on mnie, że niedawno i jeście geszeft chce robycz?! – Zmiarkował się jednak. – Pokazie papier!

– Kwiatečku drogi, z cała moja sierćia pokazie, ale kiedy začnie dzień. – Uśmiechnął się niepewnie.

Kwiatek podrapał się po głowie. Józus i Filomena stali nieruchomo i prawie nie oddychali. Żydówka żuła tytoń. Wiatr kolejny raz syznął w szyby kroplami deszczu. Usłyszeli dźwięk, jakby ktoś w okna rzucił garścią gwoździ.

– W jakie bagno utoneli?

– Ciarcie Bagno.

Kwiatek dosłownie, powiadam wam – dosłownie, zbaraniał. Otworzył szerokie usta, a pejsata czupryna cofnęła się mu razem z czołem, ale szybko wróciła na miejsce, a czoło rozorała głęboka zmarszczka. Kiwa westchnął i schował papier.

– Ty galganie! – wrzasnął Kwiatek. Szyby zadźwięczały w oknach. – Ty Kwiatka do piekła wysyłaś, ty kazieś czekać ćtery lat, ćtery, na płacenie za moja dach?!

– Bagno je wypluje...

– Za ćtery lat to ja mogę umzieć, za ćtery lat to sze szwiat może kończać, a nie bečka kupować.

– Może wypluje wcieśniej?

– Nie ma wcieśniej na ten bagno! Nie ma wcieśniej, jak szwiat zije. Moja czerpliwościa się wycierpali do dna! Prec! I won! – Wskazał im drzwi.

Kiwa z wymówką spojrział na Józusia, który ze zwieszoną głową podreptał za nim, aby mu pomóc zaprzęgnąć bułanka. Filomena z szeroko otwartymi oczami przez chwilę stała nieruchomo, ale gdy ramię gospodarza wystrzelone prosto w drzwi nie opadło, to zaczęła się zbierać.

Jechali w milczeniu. Wiatr razem z deszczem chłodził ich policzki. Józus z uwielbieniem przyglądał się Filomenie. Siedział za jej plecami i nie spuszczał oczu z jej złotych włosów. Co chwilę nachylał się blisko i wachał głowę hrabianki. Jej kok nieco już się rozwichrzył, ale nie miała kiedy dzisiaj się przepleść.

– Dłaciego ci kozi zdechli? – odezwał się w końcu Kiwa, ale nie popatrzył na Józusia.

Ten wzruszył ramionami.

– Dłaciego zdechli?! Ty mnie mów! – Ręce mu zgrabiały i coraz częściej kapało mu z nosa.

– Przecież to niemowa – wtrąciła hrabianka i chuchnęła w dłoń.

– E! – prychnął Kiwa i zaciął konia, ten ruszył kłusem – jego taki niemowa, co z moja konia pies!

Józuś milczał.

– Jak to? – obejrzała się na chłopaka, a ten spuścił oczy.

Biedka podskakiwała na kamieniach, obok kół chlustało błoto. Deszcz ciągle mżył, powietrze kasało policzki. Czuć było mróz.

– Zwolnij! – zirytowała się dziewczyna – wszystkie kości mi porachujesz.

– Niedobrze zwolnij, po co mnie zwolnij? – Cmoknął na konia, który przeszedł do kłusu wyciągniętego, a hrabianka kolejny raz boleśnie obijała sobie biodro. – Tu miejsca niedopre, Jósusia nie lubią.

– Co? Kto? Krzaków się boisz?! – syknęła z bólu.

– Ksiaki, ksiaki! – Świsnął batem i rozejrzał się na boki.

Właśnie te krzaki przerażały go najbardziej, bo w nich mogło siedzieć wszystko. Od kuropatw po zbójców heretyckich. Myśląc o tych drugich, miał konkretnych na myśli.

Mimo że było ciemno, bułanek doskonale sobie radził, wszak koń w ciemności widzi lepiej od człowieka. Dlatego kiedy Kiwa zmusił go do galopu, nie sprawiło mu to trudności. Tylko hrabianka zagryzła usta, a Józuś przestał się jej przyglądać. Każde złapało się za co tylko mogło, aby nie wypaść z wózka. Pędzili w ciemność, a to, że pędzili, sprawiało, że się bali, bo Kiwa był ostatnim, który by własnego konia tak fatygował. Skoro fatygował, znaczyło tylko jedno: musiał mieć powód! I ten powód się nagle przed nimi zmaterializował.

Bułanek zahamował gwałtownie, wspiął się na zadnich nogach – tak zniecka się pojawili – zarżał dziwnie, przeciągle, jakby zaskowitył. Kiwa od razu go odwrócił i ruszył w innym kierunku, ale i tam po kilku metrach drogę mu zastąpiono; nie zraził się jednak, tylko odbił na lewo i ruszył galopem. Jednak – co prawda po dłuższej chwili – zostali zatrzymani.

Grupa jeźdźców na identycznych koniach stała przed nimi. Mogło ich być z dziesięciu. Ten, który im przewodził, zwrócił się do Kiwy:

– Winny nam jesteś odpowiedź i nie tylko. – Z ciekawością przyglądał się hrabiance.

– Kiwa nicz nie wie, po co wiedzieć ma?

– Dla własnej spokojności – powiedział dobrotliwie.

– Moja szpokojnoszcz ma się jak najszpokojniej i wiedzy ziadnej nie odcuwa braku – powiedział hardo.

Józuś w tobołkach wymacał broń. Filomena wyczuła jego plecy, które oparły się o nią. Najpierw chciała krzyknąć oburzona, ale Kiwa ścisnął ją delikatnie za dłoń.

– Zadałem ci pytanie. Odpowiedź na nie jest twoją wdzięcznością za udzieloną ci pomoc – przypomniał.

– Pomoc nie była pociebna!

– Ale ją przyjąłeś.

– Same gwałtem pomoc dali.

– Przyjąłeś, teraz płąć!

Filomena poczuła, że Józuś wtyka jej pod ramię rewolwer. Wstrzymała oddech. Przecież nie poradzą z dziesięcioma! Ale przyjęła broń. Kiedy tej broni dotknęła, nagle poczuła się też silna, nagle wszechmocna. Strzelała już kiedyś, dawniej, jeszcze w ich

majątku. Uczyła się tego tak samo jak jazdy konnej, ale strzelanie do tarczy to nie to samo, co ratowanie życia. Wytrzymaj – powtarzała sobie w myślach – nie strać zimnej krwi, wytrzymaj. Dlatego trzymała tę broń, czuła jej chłód, ale nie robiła żadnego ruchu.

Kim była istota egzaminująca Kiwę, nie miała pojęcia. Józus zdaje się, że miał. Było ciemno, twarzy nie widziała, jakby sami byli nocą, tylko ich wielkie niepokojące oczy widać było doskonale.

– Bečki utopieni z fajn wódka, jeśli podpisie weksel, będą wasie – Kiwa najwyraźniej był w desperacji.

Jeździec zaczął się śmiać tak głośno, że słycać go musiało być na siódmej wsi. Kiedy się uspokoił pochylił się w stronę Kiwy i z błyskiem w oku powiedział:

– Dobrze znam miejsce ich spoczynku i odbiorę je bez twojej zgody.

– Na rany bozi, Kozaryk?

– A widzisz, że przechytryć potrafię nawet Żyda.

– Żyda? To bez serca cieba bycz, zieby ta pierś, na której wychowany, kąsał, zieby te rękę odgryzał, co jego głąskała!

– No patrzcie! On głąskał, on?! Który na ulewę wyrzucić potrafił jak psa, a to psa się nawet nie wyrzuca, kiedy na świecie bieda.

– Nu, nu ziadne wyziucanie nie ma, ziadne.

– Jeszcze się wypierasz!

– Kiwa majątny, wykupywać się będzie mógł. – Otarł pot z czoła.

– Tak?

– Co pocieba, Kiwa zdobędzie!

Kozaryk nachylił się do ucha Bobika i coś mu długo szeptał.

– Na rany bozi! – wyszeptał Bobik przerażony. – Ludzia, jak się zwiedzą, to Bobika kaput!

– Ja mogę kaput od razu!

Filomena wstrzymała oddech, poczuła, że Józus za jej plecami zeszywniał.

– Kupujesz sobie tym czas, a może uda ci się wykupić całkiem – zakpił Kozaryk. Obrócił konia i utonął w lesie, jego towarzysze zrobili to samo.

Nim Kiwa się ocknął minęło kilka minut.

– Co to było? – zapytała hrabianka, cały czas ściskając pod pachą pistolet.

– Nie pyta, po co wiedzieć ma? – odrzekł Kiwa zachrypniętym głosem. Cmoknął na bułanka i ruszyli. – Józus – powiedział po chwili – śliształ ty?

– Yhy – odezwał się.

Ukraść konie wioskowe? Konie z Bławatnych? Toż to prawdziwe przestępstwo, toż to kara boska murowana. Żadne płacze pod ścianą nie pomogą, chyba że ukradnie je Józus.

– Co słyśtał? – Filomena wytrzeszczyła oczy na Kiwę.

– Nie pyta panieńka, nie pyta. Dopry sen ma i niech taki on nadal będzie – rzekł Kiwa bardzo smutnym głosem.

– Kto to był?

Nie doczekała się odpowiedzi.

Wygonieni jak psy na ulewę w środku nocy jechali w milczeniu. Zmoknięci, zmarznięci i nieszczęśliwi pragnęli tylko poranka. Z utęsknieniem wyczekiwali jasnych przesmyków na

wschodzie. Nie liczyli na słońce, bo ciągle padało, ale pragnęli choćby niewielkiej pręgi białego światła, która uspokoiłaby ich, że dzień jednak wstanie, że w końcu zrobi się widno, a mrok zabierze ze sobą swoje widma. Jednak nie myślcie, że narodziło się jakieś porozumienie między tymi nadzwyczajnymi podróżnikami. Filomena zamilkła, bo wyczuła, iż mogą ją zostawić w tym błocie, na tej ulewie w środku obcego lasu, dlatego siedziała cicho. Józus próbował grać na harmonijce. Kiedy Kiwa usłyszał jej pierwsze dźwięki aż podskoczył na swoim miejscu. Ściągnął wodze, obejrzał się raptownie.

– Józus! – jęknął. – Ciego ty jego zabrał, tego przedmiotu? I kiedy?

Józus wzruszył tylko ramionami i nic nie rzekł. Różnie o nim mówili. Jedni, że głuchy, inni, że niemowa. Jednak największą rysą na jego osobowości nie była ułomność, a naddatek. Przy urodzeniu dostał coś, czego nikt nie rozumiał, a każdy się tego bał. Kiwa ani Dziad się nie bali, ale mieli na to baczenie. Dziad z miłości do chłopca, Kiwa z wyrachowania.

Nie bez powodu też Kiwa zapytał o kozy. To nie był przypadek, że żadna nie przeżyła, nie była to też zaraza. Józus, który wzbudzał w ludziach litość, wzruszenie albo gniew, ten Józus, który wydawał się bezbronny i delikatny – posiadał dziwną moc czy siłę, którą trudno było nazwać, a zrozumieć było niepodobna. Skąd tę siłę czerpał, nikt nie wiedział, a on nie potrafił o tym powiedzieć. Mówił, choć wadliwie, ale dało się go zrozumieć, jednak głosu używał bardzo rzadko.

Nim Kiwa wyrwał z rąk chłopca harmonijkę, zagroził im drogę Tofil, a z Tofilem żartów nie było.

– Oddawaj – warknął i zabrał instrument.

Kiwie wyszło w gardle.

– Miej większe baczenie na swoich ludzi – powiedział do Kiwy, ten kiwnął kilka razy. – A ty – zwrócił się do Józusia – miej się na baczności.

Już chciał zawrócić konia i zniknąć jak jego poprzednicy w lesie, kiedy zdarzyła się rzecz dziwna. Józus uśmiechnął się do kogoś, kogo tylko on spostrzegł.

Nagle koń Tofila rozpaczliwie rozdał chrapy. Wciągnął powietrze, ale wyglądało na to, że tego powietrza dobyć nie potrafił. Zakaszłał, głowę zwiesił, kopytem poczał skrobać, charczał. Tofil spiorunował wzrokiem Kiwę, Kiwa szturchnął Józusia, ale tak mocno, że tamten jęknął. Po czym wszystko wróciło do normy, a przybysz odgalopował jak gdyby nigdy nic.

Dziewczynka zniknęła.

– Ci ja ciebie nie upominał? – szepnął do chłopaka – ti swoje umiejętności na postronek cimaj, a nie o palpitanie serca doprowadzaj.

Kiwa już miał dość tej podróży i całej włóczęgi. Albo jest dobrze, albo źle jest i inaczej się nie da. A teraz było tylko coraz gorzej. Taki Józus to jak dynamit pod zadkiem. No i jeszcze ona, łypnęła na białą jak ściana hrabiankę. Dobrze, że chociaż ona zamilkła. Przycisnęła do piersi swoją torbę i można by rzec, że zamarła.

– Panieńka?! – Kiwa szarpnął ją za ramię.

Ocknęła się.

– Czy tutaj żyją duchy?

– W pušcia¹⁵? Nie, tutaj tylko ludzia niedopra. Taka niedopra, zie duchi uciekli! – Szybko zmienił temat. – Chlopy to galgańskie indywidua – cmoknął na konia, udając, że nic nadzwyczajnego się nie stało – one nie pochodzą od człowieka, chyba od szwynia. Podły gmin. Porównywać ich do ludzi wieszego żanru, to jak kawałek szkło porównywać do szlifowane diament. Co oni znają? Schnaps trinken. To ich meceje. Ja handluję ze zbożem i robię auf der Börse¹⁶, ale piękne talenty nie zaniedbuję. Ja uczalem się grać na violin, jak panieńka, ja gadałem po francusku. Ja zatrudniam violinist, co uczy mój żeczko, dostaje ode mnie za godzinę dwadzieścia centów i co sobota ein Glas Caffè.¹⁷

– To byli chłopci? – zdumiała się.

– Nie, to nie chlopa, chlopa za głupia i sztrachem podsita.

– To kim byli? – Serce w niej dudniło, jakby kamienie spadały w wyschniętą studnię.

– Moja babunia jest okropna chasydka i to moje jedna nieprzyjemnoszcz, bo ja muszę bycz dla niej mit allen reszpekt, bo by mnie wydziedziczała. Ale jak ona skrepiruje, to nach Wiedeń. Ach! Wiedeń to mój ideał na życie. Kiwa wtedy rzucać będzie te barbarzyńskie Galicje i same sobie będzie piniądzów robić.

– Zbywasz mnie.

– Panieńka, zlociutka! Jeżdżam do miast wielkich, jadam sami rewelacje. Żiję na wiżsi manier. Mam kochanki z różnych stanów, trzech modniarków, szwaczków dwie! – monologował, jakby się zaciął.

– Ale nie potrafisz wytłumaczyć, co tutaj się przed chwilą stało?

– Panieńka jak w pušcia pozije, to pitać przestanie.

Zabrzmiało jak groźba.

Ale jak to pożyje, ona? Miałaby w puszczy żyć?! Aż się ugryzła w język. Nie do końca rozumiała, co się działo na świecie, a czas to był podły. Wiedzieli o tym obydwaj – i Kiwa, i hrabia. Kiwa dysponował większością majątku hrabiego, bo mimo że był on człowiekiem wykształconym i majątnym, to popadł w obłąd, którego – zdaje się – nikt z jego rodziny nie zauważył.

– Jósus ty myszl, co to z te robota zrobicz – powiedział na głos Kiwa – zadaną nam gwałtem.

Niebawem zaczęło się rozwidniać. Deszcz ustał. Z opadającego mroku wyłaniał się coraz bielszy horyzont. Coraz wyraźniej widzieli bułany zad dzielnego konia, coraz wyraźniej, że koń był obłocony aż po sam brzuch. Droga przed nimi przypominała rzekę błota. Gdy rozjaśniło się jeszcze bardziej, dostrzegli, że i oni są cali w błocie, nawet twarze mieli brudne. Las po obu stronach był nagi, bez liści, wyglądał jakby zabrakło mu siły na oddech. Tylko korzenie trzymały go w pionie i tylko one pielęgnowały jego sen, dostarczając mu pożywienia. Jechali pod górkę, to znów z górki. Pokonywali wyżynkę za wyżynką. Nie mieli ochoty na rozmowę.

Filomenie się zdawało, że wypadki dnia poprzedniego i nocy nie miały miejsca. Uznała, że były snem, jakimś omamem, o którym chciałyby szybko zapomnieć. Jednak droga ciągnęła się monotennie przed nimi i nic poza smutnymi drzewami ich nie otaczało. Józus drzemał ze

¹⁵ W puszczy.

¹⁶ Na gieldzie.

¹⁷ Szklanka kawy.

zwieszoną głową. Kiwa nad czymś dumał. Bułanek szedł znużony. Co jakiś czas słyszeli krakanie wron.

Koło południa dotarli do samotnej chałupy. Kiwa zatrzymał konia. Gdzieś za lasem rozlegały się pojedyncze strzały.

– Co? – Hrabianka się zaniepokoiła.

– Panieńka pocieka – powiedział znużonym głosem Kiwa. Nie popatrzył jej w oczy.

– Co?! – Przycisnęła torbę do piersi rozejrzała się po przykrym otoczeniu.

Chałupa wyglądała na solidną i zadbaną, jednak wionęła pustką. Półotwarte drzwi sprawiały wrażenie, jakby ktoś ją opuścił w pośpiechu. Dookoła nie było widać kur ani innej chudoby. Ostrężnice rosły w półokręgu naprzeciwko chaty, ale oddalone na dwa metry, jakby ktoś im wyznaczył granice.

– Panieńka schodzi, pocieka. Pomoc będzie. – Widząc jej wahanie, Kiwa zniecierpliwiał się. – Kiwa ma interesa, duzie interesa, Kiwa musi jechać, ale bez panieńka. Panieńka pocieka.

Józuś przebudził się gwałtownie. Powiódł po otoczeniu zaspanymi oczami. Przez chwilę nic nie rozumiał, ale niedługo potem, zdało się dziewczynie, że rozpoznał otoczenie, bo rozpogodził się i przeciągnął.

– Wrócisz? – spojrzała na Kiwę.

– Pomoc przyjdzie, pocieka i przyjdzie. Jak nie pocieka, to nie przyjdzie.

Filomena zeszła niechętnie. Burczało jej w brzuchu. Miała wilgotne ubranie i chciało jej się pić.

– Chćie obważianków? Ale płacić czeba – powiedział.

Zezłościł ją.

– Nie! Nie jestem głodna. – Jeszcze czego, miałyby płacić za jakiegoś zapleśniałego gniota? Niedoczekanie. Wściekła kopnęła w kretowisko. Kiwa odjechał.

Galicja, 16 października

Niedobrze, oj niedobrze! – pomyślał Dziad.

Im bliżej podchodził do zagród, tym większy paraliżował go strach. Im bardziej brzask rozświetlał niebo, a noc, choć niechętnie, ustępowała mu miejsca, tym gorszy widok przedstawiał się jego oczom. Były to zgłiszczca. Dogorywający ogień. Osmolone krokwie dymiły jeszcze. Gdzieniedzie błyskały jęczyczki płomieni. Za niewielkim brzozowym zagajnikiem przedstawiał się podobny widok. Nad drzewami unosił się dym. Cuchnęło spalenizną. Mocno nadpalona łąka ciągnąca się od pogorzelska aż do lasu, wyglądała jak czarna rzeka. W półmroku wstającego dnia wiał od niej chłód, a wysoka trawa kołysała się złowrogo. Gdzieś hen za lasem szczeakały pojedyncze karabiny maszynowe. Wrona kołowała nad środkiem łąki. Dziad miał złe przeczucie.

Martwił się, bo Józusia już od kilku dni nie było. Józuś był mu bardzo bliski, jak syn albo wnuk. Bardzo bliski. Nie było go, bo potrafił być samowolny i robić rzeczy tylko jemu wiadome, co Dziada doprowadzało do rozpacz.

Wrona zataczała coraz ciasniejsze kręgi i obniżała lot. Dziadowi zabrakło tchu. Coś tam musiało leżeć, coś nieżywego, bo ptaszysko się zainteresowało. Nie był pewien, czy łąka nie

jest pod ostrzałem, czy w lesie nie siedzi ukryty wróg i tylko czeka na śmiałka. Dlatego wahał się. Schowany między białymi pniami obserwował ptaka i horyzont za łąką.

Wrona nagle zmieniła taktykę, wzbiła się ku niebu i niczym pocisk runęła na ziemię. Ruszyła z taką zaciętością, że Dziad nie miał wątpliwości, iż w tamtym miejscu ktoś się ukrywał. Trawy poruszyły się, ten ktoś rzucił czymś w stronę ptaka. Pomogło na tyle jedynie, że ptak powtórzył poprzedni manewr. Wtedy padł strzał i wrona bezwładnie spadła na wypaloną część łąki. Od lewej poleciała seria z karabinu maszynowego. A, jednak obserwują, psiekrwie! Nic tylko czekać, aż się ściemni. Żeby tylko nie było za późno.

Gdzie te wojska zakłęte w kamienie – zapytał w myślach – o których opowiadali starzy? Gdzie rycerze czekający na znak, pytający się co sto lat, czy to już? Toż tylu opowiadało o cichych, uspionych na górze sandomierskiej tuż przy Wiśle, gotowych w każdej chwili chwycić za broń i przyjść z pomocą swoim. Gdzież oni? Czemu ciągle śpią, gdy ziemia drży od armatnich strzałów? Gdy krztusi się potokami krwi. Sam Dziad o nich opowiadał ludowi na jarmarkach. Widział, jak błyszczały wieśniakom oczy, jak dobrze ich sercom robiły te opowieści. Jednak opowiadał im również o tym, że nadejdzie czas podły, gdy panowie lasy zamkną, rowami otoczą, drzewa wytną. Nie wierzyli, a kiedy rzecz ta się stała, przypomnieli sobie słowa Dziada. Nie wierzyli, bo las od zawsze im ojcował, las ich żywił, las dawał schronienie. I jakże można las zniszczyć? To barbarzyństwo nie mieściło się w ich chłopskich głowach. A jednak nadeszli drwale – istoty twarde, surowe, o wyglądzie strasznym, o wyglądzie nieludzki – którzy zaczęli mordować drzewa. Nie wycinali tych starych, schorowanych. Nie selekcjonowali, tylko jak armia najeźdźcy powalali setkę za setką, pozostawiając za sobą smutne, nieme karczowiska przypominające pola bitwy.

Strojeń energicznie wyszedł spomiędzy sosenek i zamarł. Za nim niczym wyżły robiące stójkę zamarli bracia Baryły. Co, do kaduka!? Chałupy miały być, ale chałup nie ma. Jeno popiół. Koło brzozowego zagajnika spostrzegł głowę w kapturze. Tonęła, to się unosiła pośród traw. Obserwowała łąkę. W nocy o północy by go rozpoznał. Co też on tutaj robił? Na pewno mu bruździł. Nawet jak nie chciał, to i tak bruździł niechcący, tak wbrew woli. Przyczaił się, dał sygnał trojaczkom, żeby zrobili to samo. Dyszeli jak lokomotywy, cuchnęli potem i stęchłymi łachami.

– Nie sap mnie na kark! – zachnął się Strojeń nie wiedząc, do którego mówi. – Sza, czekomy! – syknął.

Strojeń nie znosił, no nie znosił tłumu i gorąca bijącego od innych ludzi. Najlepiej, żeby stali pół metra od niego. Ale trojaczki od maleńkości splecione kończynami górnymi i dolnymi niczym węzłem gordyjskim przestrzeni nie potrzebowały. Najchętniej wisiały nad drugim jak śpik u nosa.

Bracia, rzecz jasna Błażeja, nie dostrzegli. Na niebie pojawiły się trzy wrony. Kołowały nad łąką. Miał tutaj być Kozaryk z ładunkiem. To, że go nie było, coraz bardziej niepokoiło Strojenia, ale nie z powodu dbałości o swoich ludzi, a z powodu doświadczenia, które mu od razu podpowiadało, że został wystawiony do wiatru.

Musiałoby być koło południa, kiedy usłyszeli za plecami łamiącą się gałązkę. Strojeń podskoczył, jakby go ktoś ukłuł szpilką. Podskoczył i od razu się zirytował.

– Haw Kozaryk?! – warknął.

– Nie ma. – Leśny, niejaki Dziewiątek, wzruszył ramionami. – Kiwa Bobik wściekły, zionie łogniem siarczystym, bo to był łośtatni moment.

– Żyd, jak go znam, gdziesik tutaj się czai – sapnął Strojeń, a Baryły z niepokojem rozejrzeli się wokół siebie. – Kozaryk pewnikiem tyż.

– Nie ma!

Wojna wszystko popsowała. Nawet przemyt popsowała, to znaczy zmieniała jego szlak. Dziewiątek robił za leśnego, zatrudniał go hrabia Jedliczyński, bo ten las do hrabiego dóbr należał, choć sam hrabia bawił w świecie. Miał pilnować porządku i chronić las przed kłusownikami. To chronił, tak po prawdzie bardzo chciał chronić, ale jak przed kamratami chronić cokolwiek?

– A żeby go pioruny trzaśły! – Strojeń zagryzł zęby na pięści. – Haw hrabia?

– Siedział w ten czas u Bahana w tej wiosce zbójeckiej, na Kraków miał rusać. – Dziewiątek wiedział to od karła, który wszystkie ważniejsze informacje wnosił z karczmy i spowiadał się z nich potem w jego chałupie.

– Czyli wie – Strojeń zrobił kilka kroków w prawo, potem w lewo – co we wsi gadają?

– Tutaj jus nic. – Wskazał ramieniem pogorzeliśko.

– E! W wasej.

– Ano – leśny przysunął się do Strojenia – że caluśki tranysport utonął w Czarcim Bagnie. Wszyćko. I wóz, i becułki, i ten ślićnusi łogier nawet. Ten, wiecie, z piekła rodem. Czart dał, czart wzion.

Strojeń machnął ręką, machnął i Dziewiątek.

– Czego tak gadają? – Spojrzał leśnemu w oczy.

– Mówio, że łomot był wielgi, że kwik i wrzask ogromne, a haw czart rechotał, ale rechotał aż jego rechot bez¹⁸ pół nocy las powtarzał. A że echa grały – powiedział Dziewiątek.

– A Kozaryk? – Strojeń zagapił się w las.

– Musi na dnie. – Dziewiątek splunął i zaraz się ożywił. – Takosik się mnie widzi, że to nawet dobrze, że jus! On sam jak dyjabeł, ludziska strasył, dziećka z wrzaskiem uciekali.

– Zabiję gałgana! On już nie ujdzie mojej fuzji, o nie!

– Ale po co czas mitrężyć, kiej on jus trupek?

– Jus ja wiem, jaki on! Tak niezwywy, jako i jo! – Przypomniał sobie ponure spojrzenie Kozaryka, jego małowówność i jakiś taki dziwny sposób zachowania. Jak gdyby chciał jak najszybciej zejść mu z oczu. Już knuł, skurwysyn. – Słuchej! Pódzies do Kiwy raz jesce...

– Nie – przerwał mu – nie pude i jus, panie, my jus z Jewką załadowane. Dzieciaki na furze siedzą. Chałupe my ostawili, ot za tymi ksockami na mnie cakają, na gościńcu. Zara rusamy. Nie wydolimy na tyle wojska.

– Dom porzucosz i posterunek?

– Mnie życie drozse – splunął – jaki haw posterunek? Szyćko na głowie, jeno sam Bóg na mnie kwity ma i jeno jego gniewu się bojał będę.

¹⁸ Przez.

– Kiej te becki wyskoczyć z bagna mogo? – zmienił temat Strojeń.

– Za jakie ćtery roki. Stary Anzelm, haw utonął z kobyłą i wozem, to po ćtyrych rokach dopiero my go gzebali. Aleć jak nowiutki był, tyła ze nieboscyk.

– Na pewno za ćtyry roki wylezo? – Strojeń od razu zaczął tworzyć w głowie plan awaryjny.

– Dyc na pewno. Nie było jesce tak zeby się spóźniło.

Strojeń poskrobał się po głowie.

– A wcześni nie pokura tam kto? Jakisik śwarny chłop?

Dziewiątek pokręcił głową.

– Bagno to paskudne, niepewne, diobły na niem łogniem buchajo, na skrzypkach grajo, niewiernych lichu do smoły ściąga. Nie ma tak łodważnego cłowieka, coby na wiećne potępienie tam laźł.

– Nic, cza będzie te ćtyry roki poćkać¹⁹. – Spojrzał na Dziewiątkę. – Coćcie uradzili? W którą stronę ruszocie?

– Tamok – szepnął i wskazał oczami las. Mrugnął porozumiewawczo. – Do Bławatnych.

– Nie zdybiecie drogi!

– Prawili, że łatwo. – Leśny popatrzył na niego nieufnie.

– Dziewiątek, ja ci dobrze radzę, zaniechaj. Albo jedź gdzie za Wisłę. Straśnie tam trudna droga. Dyc nieszczęśliwa to godzina.

– Godzina niewinowata. – Przeżegnał się pośpiesznie i z urazą spojrział na Strojenia. – Pora najwysa się ratować. Nikogo za Wisłą ni mom. Ani wujenki, ani stryja.

– A tamok – wskazał głową las – kogo mosz?

– Ksiądz dobry, godajo, przygarnie.

– Nie przygarnie! – Wziął się pod boki. – Wstrzymaj się. Ustrzelą cię jako szaraka, co słupka stanął. Haw się prosisz o tych parę śrutów? Razem pódziemy, drogę pokażę.

Leśny popatrzył na niego wyniośle.

– Mnie więcy ciężaru nie potrza!

I nim Strojeń przytyk zrozumiał, czmychnął jak ten już wspomniany zając.

Dziewiątek towarzystwa nie lubił, tym bardziej towarzystwa przemytników. Co prawda pomagał im nieraz, a nawet za łącznika robił i wieści im przekazywał, to sam przed sobą się nigdy nie przyznawał, że sam jest jak oni. Nigdy siebie nie obarczył winą za to, co oni wyprawiali. Poza tym nie chciał być widziany we wiosce ze Strojeniem. Nie chciał zostać od razu przez ludzi sklasyfikowany i przyporządkowany do pewnej roli.

– O ty ścierwo! – warknął Strojeń, ale nic na sytuację poradzić nie mógł.

I tyle było. Paskudny czas. Oj, paskudny.

– Jus ja go dorwę – wysyczał, zaciskając słusznych rozmiarów pięści – gnaty porachuje, zęby wybije, ślepia jego wronom zuce – wymamrotał do siebie.

Baryły stali wyjątkowo cicho. Znaczy, potrafili. Kiedy Strojeń się wściekał, najlepiej byłoby gdzieś zwiać. Gdzieś... Ale tutaj to „gdzieś” dawało tak wiele możliwości, że woleli nie ruszać się z miejsca. Zatem stali cichutko, zbici w rudą, okrągłą, sześcionogą bryłę. Stali

¹⁹ Poczekać.

tak zatrwożeni, że nie zauważyli Dziada, czyli znowu się dali podejść. Ten włókł po ziemi, ciągnąc za ramię, nieprzytomnego człowieka.

– Pomogliście – wydyszał stary, kiedy zatrzymał się tuż koło nich.

Ci jak jeden mąż aż podskoczyli i z wybałuszonymi oczami spojrzeli na niego.

– No co?! – fuknął. – Co się gapiacie jak cielęta na malowane wrota?

– Juści, że jak cieie – przytaknął Jacenty, najgrubszy z Baryłów. W głowie miał istny popłoch pośród myśli, których nikt, nawet on, nie był pewien, że faktycznie się w niej kluły – ino takie podrośnięte i nie jałówka – powiedział, żeby tylko coś.

Nie ośmielił się zerknąć na Strojenia, bo ten od razu coś wyczuł.

– Znacie się? – zapytał.

– Nakryłem ich niedawno na kradzieży – mruknął Dziad. Stał na szeroko rozstawionych nogach, brzuch, i tak wielki, wypchnął do przodu, zawiesił kciuki na rzemieniu opasującym metry jego pasa i kpiąco zmrużył oko.

– Co kradliście? – Strojzeń nienawidził w tym momencie wszystkich na świecie, a Baryłów najbardziej. Jak się mogli tak dać podejść, jak kumochy na sikaniu w lesie.

– Kurę – odpowiedział za nich Dziad – co prawda nieżywą, ale jeszcze zdatną do zjedzenia.

– Co wy do mnie godocie? – zezłościł się.

– Było tak – sapnął najgrubszy Baryła, ale błyskawicznie dostał po grzbiecie kosturem od Dziada.

– Milcz, kiedy możesz, ruda kito. – Stary zgrzytnął zębami i od razu niewinne spojrzenie przeniósł na Strojenia. – Od grzechu kradzieży ich ochronilem – odpowiedział lekko.

Oczy miał szare, niby czyste, jasne świecące blaskiem, należącym bardziej już do tamtej strony, Piotrowej, niż tej ziemskiej, ale niknęły pod krzaczastymi, obfitymi brwiami. Co prawda siwymi, ale gęstymi i nastroszonymi. Niby nakrywał je pomarszczonymi powiekami, ale ich ostrość nie miała nic wspólnego ze zramolałym starcem. Niby chodził powoli i często odpoczywał, niby opierał się na kosturze i dyszał ciężko, to czasem, gdy krzyknął, gdy spozrzał, ciarki przechodziły po grzbietach największych cwaniaków.

– Onych? Od gzechu? – Strojzeń zagapił się na niego, jakby połknął ość.

– Sam zeziarł! – poskarżył się średni z braci. – Nawet flaków nie wyjon. Dziadzie ty...

– Uważaj, młokosie – Błazej pogroził mu palcem – dla łysej głowy miej uszanowanie, bo kto go nie ma – niebezpiecznie zbliżył palec wskazujący do jego oka – ten na głodnego do piekła pójdzie – oczy mu błysnęły – i po omacku!

– Aaaale jak to? – pisnął najmłodszy i najchudszy, z buzią najbardziej ze wszystkich trzech oprószoną białymi, nieregularnymi piegami.

– Józusia czas poszukać – zafrasował się Dziad.

– Tego niedojdę? – zdumiał się Jacenty. – Ale po co?

– Wódki co macie? – Dziad zmienił temat.

Dopiero sobie przypomnieli o żołnierzu, którego starzec przytaszczył. Teraz pociągnął go za ramię i wszedł głębiej w las, gdzie owionął go wilgotny cień i zapach mchu.

– Strojzeń! Pomógłbyś go opatrzyć.

Jacenty, zbliżył się do Strojenia, odciągnął go na bok i zaczął szeptać z gorączką, jakby stał przy konfesjonale:

– Taka tam fantazyja nas nasła. Austryjak dychnon kurę siostrze – uklonił się – waszeci, to my dychnęli jemu, a nam z naszych ręc – rozcapierzył palce u obu dłoni – dychnon on.

– Wyrwał jak dzik! – wpadł mu w słowo średni, czyli Kostaś.

– Z was takie rabusie, jak z koziej dupy trąba. Wstydu nie macie! Honoru za kwartę masła! – Strojzeń cisnął w nich wściekłym spojrzeniem. – Na rabsiców byśta się nie nadawali, bo was sary²⁰ i zajęce obśmialiby. Ciołki zakichane! Do orania swoich piachów byśta się wzięli albo do strugania łyżek w chałupach. Byle ziandarm was za łby pochwycić potrafi. Zeźliłem się dokumentnie, aż bym was zębami darł do krwi! – Umilkł i oddychał ciężko. Aż go od środka rozsadzało. Pasy by darł chętnie z takich ciamajd. Wtedy łypnął na Dziada, ale z takim piorunem w ślepiach, że aż się stary cofnął. – Kurę mojej rodziny żeśta zeziarli?

– Ale nie naraz, porcje zrobiłem – odpowiedział Dziad spokojnym, niskim głosem. Dobrze wiedział, do czego Strojzeń jest zdolny. Można go było przez pewien czas słowami ugłaskać, ale gdy, jak w tej chwili, krew się w nim gotowała, a głowa przypominała dymiący krater Wezuwiusza, lepiej było mu z drogi zejść. – Ależ Strojęnciu drogi – zaczął się przymilać – zrób dobry uczynek przez wzgląd na Matkę Boską Modrzewiową, która sobie u nas na górce siedzi i na nas poważnym spojrzeniem zerka. – Próbował ocucić żołnierza.

– I tyś się szaleju naziarł? – huknął Strojzeń ciągle zły.

²⁰ Sarny.